



polsko-duń-
skie dziecko
w proszku 4



wzgardzona 6



Cud 7

w łysych



słuchanie
pamięci 8-9



najbliżsi
współpra-
cownicy 11

o Gomułce

szumiący
horoskop 16

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

12

(88)

KONTAKTY
20 VI 1982
Cena 12 zł

POLSKIE DUSZKI ANDRZEJA PODULKI



biurokratek warczący

Duszek często spotykany w Krainie Niezależnych Spraw. Trudno jest się z nim porozumieć — odpowiada warczeniem. Mimo iż nie gryzie, nie jest zbyt miły w kontaktach z petentami. Może dlatego, że sam jest ciągle gryziony i trzymany na łańcuchu przepisów i paragrafów wpijających mu się w kręgosłup osobowości.

WYZNANIA SZEFA

W cyklu „Reforma z bliska” rozpoczynamy druk intrygujących wynurzeń Jana Kowalskiego, dyrektora Zakładów Płyt Wiórowych w Grajewie, odsłaniających prawdę o reformie widzianą z perspektywy dużej nowoczesnej fabryki.

bicz

ekonomiczny

Na tę ostatnią deskę ratunku dla naszej gospodarki — reformę — czekaliśmy, jak chyba wszyscy, z ogromną nadzieją. Ale nie na to, że ktoś da nam do ręki złote klucze do raju; co najwyżej — że musimy znaleźć je sami. Przygotowywaliśmy się do startu całymi miesiącami i dopiero po wielu analizach, dyskusjach, przemyśleniach opracowaliśmy trzy warianty planu na pierwszy rok nowego systemu ekonomicznego.

Dlaczego aż trzy? Po prostu dlatego, że gubiliśmy się wśród mnogości niewiadomych. Zaopatrzenie np.: nie mieliśmy wówczas, i do dziś nie mamy, wszystkich umów na dostawy surowców podstawowych. Chroni nas jedynie zapis, że ci, którzy zaopatrywali nas w roku ubiegłym nie mogą się z tego wycofać. Przy znacznym ograniczeniu dewiz, trudnym tematem wydawał się także import części zamiennych — niezbędny dla zakładu posiadającego 100 proc. maszyn z RFN.

Najmniej kłopotów mieliśmy z odbiorcami — wszystko „zaklepal” na pniu. Ostatecznie, po rozważeniu wszystkich za i przeciw zdecydowaliśmy przyjąć najskromniejszą wersję planu.

Może ktoś złośliwie zauważyć, że nie za bardzo nas ta reforma zmobilizowała. Ale jest to przecież i tak więcej, niż uzyskaliśmy w roku ubiegłym! Zresztą, nie mamy zamiaru na tym poprzestać — robimy wszystko, by przeskoczyć to założone minimum i szanse na to teraz, po kilku miesiącach pracy, już widzimy. Co zrobiliśmy dotychczas: zmieniliśmy strukturę organizacyjną, przeanalizowaliśmy „politykę” zatrudnienia.

Rewelacji w tym ostatnim posunięciu nie odnotowaliśmy. Np. liczbę pracowników zmniejszaliśmy o 30, a i tak większość z nich — licząc się z koniecznością zwiększenia produkcji części zamiennych — jedynie przesunęliśmy do działów technicznych. Natomiast w administracji założyliśmy redukcję około 20 etatów, ale w sposób naturalny, tzn. w miarę jak ludzie będą odchodzić na emerytury, do innych zakładów. Uznaliśmy, że nastroje w przedsiębiorstwie są sprawą równie istotną i nie należy pogarszać ich

CIĄG DALSZY NA STR. 5

W następnym numerze: wyjaśnienie zagadki ducha w tysach ♦ kto broni robotnika? ♦ fotoreportaż z przygotowań białoczerwonych do odlotu na Mundial '82 ♦ pasjonujący reportaż o biurokracji i głupocie ludzkiej „Jeszcze będzie zabawa na naszej ulicy” ♦ dalszy ciąg „Wyznań szefa”.

160-LECIE RUCHU ROBOTNICZEGO w Polsce i jego tradycjom w regionie łomżyńskim poświęcona była konferencja teoretyczna, zorganizowana 11 czerwca przez KW PZPR i WOKI w Łomży. Po rocznej przerwie — powiedział w zagajeniu Mieczysław Brzezicki, sekretarz KW — wracamy do tej formy spotkań aktywno partyjnego, czyli praktyków działania ideologicznego z teoretykami marksizmu-leninizmu i historykami. Pewne słabości naszej pracy ideologicznej, które obnażyły wydarzenia ostatnich kilkunastu miesięcy, są dodatkowym dopiskiem do ciągłego poznawania nie tylko spraw bieżącej polityki, ale także historycznych tradycji naszej partii. Bogaty program konferencji wypełniły referaty, komunikaty i dyskusja. Doc. dr hab. Jan Sobczak z Wyższej Szkoły Nauk Społecznych mówił o SDKPiL oraz PPS do 1918 roku; doc. dr hab. Adam Dobroski z białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego przedstawił rewolucję 1905—1907 roku w Łomżyńsku. Tradycja ruchu robotniczego w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem regionu łomżyńskiego, omówił dr Witold Wicenciak z Łomży, zaś dr Jerzy Joka z Instytutu Kształcenia Nauczycieli (Oddział w Białymstoku) zaprezentował niektóre problemy współdziałania partii i organizacji politycznych w regionie łomżyńskim w latach 1945—1956. Autorzy komunikatów, obok tematyki łomżyńskiej (Janusz Gwardiak — „Wieżenie łomżyńskie w latach 1892—1915” i Henryk Maćkowiak — „Strajk szkolny 1905 roku w Łomży”), przedstawili także rozważania teoretyczne: dr Henryk Białobrzewski — „Koncepcja i funkcje partii klasy robotniczej w ujęciu teoretyków marksizmu-leninizmu”, Grzegorz Flejter — „Kryzys a niektóre prawidłowości w budowie socjalizmu w Polsce”, natomiast Anna Kerzuń omówiła wpływ rewolucji 1905—1907 na twórczość literacką.

JAK WYJŚĆ Z KRYZYSU? W jaki sposób wprowadzać reformę gospodarczą, a wraz z nią — wysoką efektywność produkcji? Pytania te często pojawiały się na spotkaniach łomżyńskich załóg robotniczych (m.in. Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego, Łomżyńskiej Fabryki Mebli) z gospodarzami miasta i województwa oraz Prokuratury, Sądu i Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego. Robotnicy pytali, kiedy zostaną odwiezione związki zawodowe i rozpocznie normalną działalność samorząd robotniczy, goście zaś — o nas troje i możliwości produkcyjne zakładów.

SKOSZONO JUŻ 30 TYSIĘCY hektarów traw, co stanowi 45 proc. łąk w województwie. Z 8 tysięcy hektarów wzięto siano do stodoł. W gminach Klukowo, Stawiski i Szepietowo sianokosy dobiegają końca. Eksperti twierdzą, że tak wartościowego siana nie było co najmniej od kilku lat.

STEFAN SROCYŃSKI, wiceprezes Zarządu Wojewódzkiego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, zapewnia, że do 20 czerwca br. będzie sprawny w SKR-ach cały sprzęt żniwny; także sнопowiązalki, którymi w ubiegłych latach SKR-y pogardzały (547 sztuk, w tym 163 nowe). Pytanie tylko: czy będzie do nich pod dostatkiem sznurka. Dotychczas placówki wojewódzkiej „Samopomocy Chłopskiej” zgromadziły 32 tysiące kłębów, ale to kropla w morzu.

Z OKAZJI DNIA DZIAŁACZA KULTURY minister Józef Tejchma wręczył Jakubowi Chojnowskiemu z Jankowa Młodzianowa (gmina Nowogród) nagrodę za upowszechnianie kultury. Jest on rzeźbiarzem, współtwórcą Muzeum im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, z którym współpracuje od 30 lat. Eugenie Olszewska ze wsi Trynisze Kuniewo (gmina Boguty-Pianki), za kontynuowanie tradycji w dziedzinie tkactwa ludowego, wyróżnił dyplomem honorowym. Jest ona rolniczką, a tkactwem zajmuje się od roku 1962. Wykonuje przede wszystkim tkaniny wełniane z motywami charakterystycznymi dla o-

kolic Brańska. Jej prace były wystawiane, między innymi, w Białymstoku, Ciechanowie, Płocku, Warszawie. Honorowy dyplom ministra otrzymała również Krystyna Zendzian z Łomży, była pracownica Wojewódzkiego Domu Kultury. Wśród laureatów zbiorowych znalazł się Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie. Ponadto 21 osób uhonorowano odznakami „Zasłużony działacz kultury”, 13 osób — „Za zasługi dla województwa łomżyńskiego”, a Liceum Ogólnokształcące i Komenda Hufca w Zambrowie otrzymały dyplom wojewody łomżyńskiego za szczególne osiągnięcia w upowszechnianiu kultury w województwie.

„BRAZOWY SAMOWAR” na XVIII Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze zdobyli dwaj uczestnicy z Łomży — Mariola Walkuska, najmłodsza solistka imprezy, 16-letnia uczennica Liceum Ogólnokształcącego, za interpretację piosenki Ally Pugaczowej „Królowie wszyscy mogą”, oraz Waldemar Samordak za wykonanie z brawurą ekspresją ballady Waldemara Wysockiego.

KOŁO JEZYKOZNAWCZE przy Pedagogicznym Studium Technicznym w Łomży otrzymało odznakę „niezawodni”, przyznaną corocznie przez Polskie Radio. Młodzi językoznawcy wraz ze swoją opiekunką, Henryką Sędziakową, gromadzą słownictwo gwarowe z okolic Łomży. Ich pragnieniem, jak sami mówią, jest „ocalenie języka od zapomnienia”.

KRZYSZTOF PALIŃSKI, uczeń 3 klasy Technikum Przemysłu Drzewnego w Łomży, na Ogólnopolskim Recytatorskim Turnieju Zwycięstwa w Wałcu, otrzymał II nagrodę za interpretację tekstów Kazimierza Wierzyńskiego „Polska, którą...” i Jana Leńczuka „Modlitwa 77”. Jest on również zdobywcą nagrody „Tygodnika Polskiego”.

wieści gminne

RAJGRÓD. Z jedenastu ośrodków wczasowych, położonych na terenie gminy, turnusy wypoczynkowe rozpoczęły się w dwóch — „Kniei” i „Energetyka”; w pozostałych otwarcie zapowiedziano na drugą połowę czerwca i lipiec. Na polach biwakowych przebywa średnio dziennie 180 turystów. Domy wczasowe przyjmują również osoby przybywające bez skierowań. Tam też można zapewnić sobie całodzienną posiłki. Nie wszyscy wczasowicze zadowoleni są z wyżywienia, które otrzymują za przekazane stołówkom kartki.

▲ W br. gmina otrzymała 1000 sztuk siporeksu, czyli tyle, ile potrzeba na wybudowanie połowy małego domu. Obecnie w gminie jest rozpoczętych czterdzieści budów.

NOWOGRÓD. Żniwa niedaleko, a tu nie ustalono jeszcze, czy szpagat do sнопowiązalek będzie dzielił naczelnik, czy też rolnicy będą mogli nabyć sznurek w sklepie.

TUROŚL. Na naradzie gminnej rozpatrywano możliwości zatrudnienia stomatologa; poprzedni wyjechał w maju. Brakuje też w miejscowym ośrodku ginekologa.

ZAREBY KOŚCIELNE. Brak miejscowej rozlewni wód powoduje ciągły deficyt napojów w sklepach. Wzi się je — nieregularnie — z Ciechanowa i Piatnicy. Bliżej byłoby z Małkini, ale to inne województwo i brakuje odgórnych porozumień.

▲ Mimo nasilenia prac na polach rolnicy wsi Zoltoryja, Gatkowo i Grzędzie pracują przy budowie dróg. Pieniądze z Funduszu Rozwoju Rolnictwa przeznaczają na wynajęcie maszyn. Plantowanie, rowy i profilowanie nawierzchni wykonali własnymi rękami.

jęcie maszyn. Plantowanie, rowy i profilowanie nawierzchni wykonali własnymi rękami.

NUR. Zmieniają się odwieczne zwyczaje. Dotychczas trawy koszone po św. Janie; w tym roku sianokosy w gminie już prawie ukończono.

SZEPJETOWO. Nie zapowiadane przez zakład energetyczny w Wysokiem Mazowieckim wyłączenia elektryczności, niewłaściwe gatunki maki, to powody złej jakości chleba z miejscowej piekarni.

▲ Pracownicy SKR-u nie pojawili się w umówionym terminie na polach wsi Dąbrowa Zabłotne, gdzie mieli dokonać oprysków. Straty poniosą rolnicy w plonach oraz pszczołarze, którym udusiła się część pszczoł zamkniętych w ulach.

▲ 16 czerwca odbyło się zebranie założycielskie spółdzielni mieszkaniowej — 150 kandydatów wybrało zarząd i radę spółdzielni.

SOKOŁY. Konsumenci skarżą się na złą jakość wędlin dostarczanych z masarni w Wysokiem Mazowieckim Pracownicy tejże dziwią się, że mieszkańcy gminy nie wykorzystują całej puli przydziału wędlin i mięsa.

gościli w Łomżyńskim

GOŚCILI W ŁOMŻYŃSKIM: dr hab. Henryk Lis, dyrektor Departamentu Weterynarii; prof. dr hab. Marian Truszczyński, dyrektor Instytutu Weterynarii w Puławach; prof. dr hab. Wiesław Barej, prorektor AR SGGW w Warszawie; prof. dr Jerzy Kita, dziekan weterynarii w AR SGGW; Piotr Kuncewicz, publicysta i krytyk literacki; Paweł Warchol, prezes Zarządu Krajowego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Rolnictwa oraz Naczelnej Organizacji Technicznej.

personalia

31 maja br. Wojewoda Łomżyński odwiedził Zygmunta Jurewicza z funkcji naczelnika Goniądza.

zdanie tygodnia

„Każde działanie najlepiej sprawdza się na ziemi”.

(Major Stanisław Krzykwa, były komisarz gminy Szepietowo)

myśl z atestem

„Czas się nie spieszy — to my nie nadążamy”.

(Lew Tołstoj)

Naszemu współpracownikowi i przyjacielowi

PIOTROWI KUNCEWICZOWI

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

MATKI

składa:
zespół „Kontaktów”

pytanie drażliwe

Dla czego w sklepach województwa łomżyńskiego chronicznie brakuje napojów chłodzących: soków pitnych, oranżady, a nawet wody mineralnej i maślanek.

ZYGMUNT MAZINSKI, dyrektor Wydziału Handlu Urzędu Wojewódzkiego: — Istotnie. Sytuacja przedstawia się gorzej niż źle. Ostatnio udało się nam załatwić dwie butle z CO. Zaspokoi to nasze potrzeby na 2—3 tygodnie. Jak będzie potem, naprawdę nie wiem. Podzielam pogląd, że jeśli nie ma napojów gazowanych i soków pitnych, to w handlu powinna znaleźć się maślanka, równie skutecznie gasząca pragnienie. Jednakże personel naszych sklepów stroni od mawiania jej, bo w przypadku niesprzedania sam musiałby za nią płacić.

MAREK RAINKO, prezes Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Kolnie: — Nie przeczę, maślanka w sprzedaży mogłaby się znaleźć, ale WSS u nas nie zamawia tego napoju, a my sami do nich z taką ofertą się nie pchamy. Uważam, że w Kolnie nie ma tradycji picia maślanek. Co innego Łomża. Tam jest więcej ludzi, którzy nie mają swoich krow.

WIESŁAWA KANYSZEWSKA, kierownik działu spożywczego Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych: — Rzeczywiście, zaopatrzenie naszych sklepów w napoje chłodzące jest katastrofale. Konsumenci i Ciechanówek, skąd otrzymywaliśmy wodę mineralną, nie podpisywały z nami kontraktów, ponieważ zdecydowały się na bliższych odbiorców. Przyczyną niedostatku soków pitnych są znane: w lecie i jesienią ubiegłego roku odczuwalis my niedostatek cukru.

Od redakcji: pytanie było drażliwe, a odpowiedzi — drażniące. Wielka niemoc. Kto ją przezwie. Popytamy za tydzień.

kalendarium

● 1 VI 1938 r. został utworzony powiat kolneński, o pow. 911 km kwadratowych z 58 tysiącami mieszkańców. Pierwszym starostą obrano Mikołaja Kowala.

● 1 VI 1975 r. Łomża zyskała status miasta wojewódzkiego.

● 2—10 VI 1973 r. po raz pierwszy uroczyste obchodzono w Łomży ogólnopolskie „Święta kultury staropolskiej”.

● 3 VI 1425 r. Kolno otrzymało od księcia mazowieckiego prawo miejskie chełmińskie, co potwierdził król August III w 1754 r.

● 3—4 VI 1948 r. odbyła się w Łomży sesja popularnonaukowa, poświęcona 70 rocznicy powstania Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, która poprzedziła odsłonięcie (7 V 1948 r.) pomnika Jakuba Wagi. W obradach, którym przewodniczył prof. dr Stanisław Herbst, prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego, brało udział około 200 naukowców z Warszawy, Poznania i Białegostoku oraz członkowie Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej.

● 5 VI 1982 r. zainaugurowało swoją działalność — ze stanem 1100 eksponatów: darowizn od osób prywatnych, lecznic i szkół weterynaryjnych — pierwsze w Polsce Muzeum Weterynarii. Jego pomysłodawcą jest znany działacz społeczny, dr wet. Jan Bondarenko, a realizatorem — kierowane przez Kazimierza Uzyńskiego — Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowie. Kierownikiem nowej placówki, ułożonej w odrestaurowanym budynku lecznicy zwierząt, został lekarz weterynarii, Jan Jastrzębski.

● 11 VI 1920 r. dotychczasowy burmistrz Łomży, Władysław Świdorski, zaczął zwać się prezydentem a miasto zostało wydzielone z powiatu i uznane za samodzielną jednostkę administracyjną.

● 13 VI 1755 r. w Urzędzie Kancelarii Królewskiej sporządzono opis lustracji miasta Łomży z 1620 r., znajdujący się w księgach ziemskich łomżyńskich. (Księgi te spłonęły w 1944 r. podczas Powstania Warszawskiego. Zachował się tylko opis lustracji w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie).

wolny rynek

Piątkowy targ obfitował w rozsady: kapusty po 60 złotych, pomidorów — 4 złote. Dużo było sadzonek kwiatów, lilia paszcza — 2 złote, aster — 3 złote, dalia — 5 złotych. Sporo oferowano kwiatów ciętych, lecz w cenie od 25 do 15 złotych za wiązanek oferowano tylko róże. Niskopienny goździk kosztował 30 złotych, a piwonie — 20 złotych. Artykuły spożywcze: kurczę żywe — 230 złotych, pół litra miodu — 330 złotych, kilogram czereśni — 300 złotych. W porównaniu do ubiegłego tygodnia spadły ceny ogórków do 100 złotych, a pomidorów do 200, wzrosły natomiast — ziemniaków do 13 złotych za kilogram. Wyroby rzemieślnicze: za damskie sandały na drewnianym obcasie żądano 1000 złotych, za kłapki — 600 złotych; metr bieżący tkanego chłonna wyceniono na 250, grabie drewniane — na 150 złotych, a stylisko do kosy — na 100 złotych. Wyłożoną do sprzedaży garderobę można było wypełnić kilkoma komiśami; spodnie sztruksowe marki „Silver” kosztowały 2500 złotych, a buty gumowe (z fabrycznie wyciętą ceną: 120 złotych) — 1200 złotych.

Na jarmarku w Czyżewie: koń — 80—150 tysięcy złotych, krowa — 50—80 tysięcy, parka prosiat — 2 tysiące; kwintal żyta i pszenicy — 3300—3600 złotych.



Uważam, że nasze „Kontakty” powinny bardziej zajmować się sprawami dotyczącymi miasta i regionu. Wydaje mi się, że tylko dla większej poczytności pisma zamieściliście na swoich łamach pamiętnik nastolatka pod tytułem „W szponach bluźnierczej namiętności” — „Kontakty” nr 7 i 8. Nie myślcie, że przeze mnie przemawia purytańska moralność. Nic podobnego. Myślę jednak, że pamiętnik został sfingowany po to, by tygodnik zyskał sobie więcej czytelników. A może się mylę? Jeżeli jest on prawdziwy, to dziwię się bardzo, że przeżycia jego autorki są tak mocno oderwane od środowiska rodzinnego i koleżeńkiego. Chodzi mi o inne, poza seksem, zainteresowania owej nastolatki. Z pamiętnika bardzo mało można dowiedzieć się o osobowości tej dziewczyny. A przecież sprawy seksu i ewentualnych odchyłen mają podłoże środowiskowe, natomiast sprawy miłości i przyjaźni są tylko jednym z elementów osobowości człowieka.

Konkludując — jest to szmira, a chyba nie chcecie zasłużyć na miano „brukowca”. Może to smutne, ale prawdziwe.

Czytelniczka z Łomży
(nazwisko i adres znane redakcji)

☆

Od 23 lat cierpię na bezwład nóg. Jestem więc inwalidą I grupy i w ogóle nie chodzę, tylko poruszam się przy pomocy wózka inwalidzkiego. Z powodu tego sprzętu mam dużo kłopotów. Otóż w ubiegłym roku otrzymałem wózek inwalidzki typu Picolo Duo 4, którym nie zdążyłem się nacieszyć, bo od razu zauważyłem, że brakuje przy nim świateł i kierunkowskazów oraz nie działa wycieraczka i sygnał. Po pewnym czasie zaczął wyskakiwać trzeci bieg. Wszystkie usterki zgłosiłem do Polmozbytu w Księżynie, skąd przyjechali fachowcy, którzy naprawili tylko skrzynię biegów. Po miesiącu znów pojawili się pracownicy z Polmozbytu z Księżyna i tym razem zabrali do naprawy silnik. Naprawa silnika trwała 7 miesięcy i niewiele dała, bo sygnał, światła i kierunkowskazy nadal nie działały. Jednakże, ponieważ silnik i skrzynia biegów miały być już sprawne, wybrałem się wózkem do rodziny na wieś. Kiedy wracałem, na moście w Piątnicy najpierw coś zagruchotało w silniku mojego wózka, a potem wysiadły w nim wszystkie biegi. Gdyby nie pomoc życzliwych ludzi, którzy pchali mój wózek aż do Łomży, nie wiem jak długo stałbym na tym pechowym moście.

Po koniec maja znowu zadzwoniłem do Polmozbytu i prosiłem o naprawę wózka. Wówczas mistrz Sawicki zapewniał mnie, że w ciągu miesiąca dokonają remontu. 16 czerwca mija okres gwarancji używalności wózka, na którym prawie wcale nie jeździłem, bo fachowcy nie potrafili naprawić silnika. I to ma się nazywać pomocą dla inwalidy, który jest zmuszony przez całe dni przebywać w mieszkaniu bez świeżego powietrza i słońca?

Jak długo Polmozbyt w Księżynie będzie mnie jeszcze zwodził? Ja życzę sobie zmiany silnika w wózku, bo nie mam żadnej nadziei i gwarancji, iż na tym będę mógł jeszcze jeździć. A tyle już razy dzwoniłem do Polmozbytu, prosiłem, błagałem, a nawet zebrałem pomocy, lecz na próżno.

ANTONI KOTLEWSKI
Łomża, ul. Armii Czerwonej 11

MIECZYSLAW BEDNAROWICZ z Wąsosz: — Pismo, które podoba się ludziom, mnie się nie musi podobać. Z racji zawodu, który wykonuję, częściej analizuję upodobania czytelników, niż zaspakajam własne zainteresowania. Nie mogę liczyć na to, że gazeta pociągnie czytelnika barwami czy sensacyjnym artykułem, bo kolorowych gazet jest wiele, a o sensacje jest trudno. Zresztą kolorem przyciągnąć można tylko młodszych czytelników.

Przez piętnaście lat pracy w kiosku poznałem gusty klientów. Wiem, że trudno jest sprzedać czasopismo, które nie zawiera programu telewizyjnego — najlepiej, żeby był na cały tydzień. Najbardziej pomagają mi w sprzedaży artykuły opisujące miejscowe sprawy. Na przykład niedawno pisałem w „Kontaktach” o roślinie z okolicy Wąsosz — tygodnik sprzedalem w mgnieniu oka. Oddział kolportażu dostarczał mi dodatkowe egzemplarze trzykrotnie. Byłoby dobrze, gdyby cena tygodnika była niższa.

LUCJA WASILEWSKA ze Szczuczyna: — Sprzedawanie prasy ma sens, jeśli są kupujący. U mnie po przeniesieniu przystanku autobusowego do handlu nie może być mowy. Poprzednio wiedziałam, ile i jakiej prasy mogę sprzedać. Teraz rzadko kto tutaj zagląda, bo po drugiej stronie parku jest drugi kiosk.

W tym tygodniu nie miałam kłopotu ze sprzedażą „Kontaktów”. Rozsłałem je artykuł o znanej w okolicy rodzinie Ciecierskich. Jeśli jest coś o Szczuczynie, to nie muszę zachwalać pisma, ludzie dowiedzą się sami. Nie musi to być duży artykuł; wystarczy, jeśli będzie informacja. Tematyka jest obojętna: mogą to być sprawy gospodarcze, kulturalne, sport.

Nie zawsze jednak można pisać tylko o Szczuczynie — rozumiem to, ale zawsze można wydrukować program telewizyjny! Ludzie przychodzą i często proszą nie o jakiś konkretny tytuł, ale o gazetę z programem na cały tydzień.

Młodzi natomiast można zachęcić do czytania pogadankami seksualnymi. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak chętnie kupują „Razem”. Okazało się, że drukowane są tam artykuły pani Wisłockiej. Poza tym, myślę, że tygodnik powinien być dostosowany do kieszeni czytelników.

JANINA MILEWSKA z Kłukowa: — Przyznam się, że niepokoi mnie spadek czytelnictwa „Kontaktów”. Przed podwyżką cen były wprost poszukiwane. Czyżby koszt ich nabywania odstraszał amatorów dobrej gazety? Ja do „Kontaktów” zaglądam zawsze, bo jest w nich coś ciekawego do poczytania. Nieraz wydaje mi się, że tydzień zaczyna się od czwartku, a więc dnia, w którym w moim kiosku pojawia się nowy numer.

Jak przywrócić popularność pisma sprzed stanu wojennego? Chyba więcej trzeba pisać o danej gminie. Może do Kłukowa dawać egzemplarze z informacjami o najbliższym terenie, do Kolna — o tym rejonie. Np. ten numer, w którym pisałem o przewlekłym remoncie budynku Zasadniczej Szkoły Rolniczej, rozszedł się bardzo szybko.

Czy powinienam do czytania gazet zachęcać? Jeśli klient jest niezdeterminowany, oczywiście, że mogę mu doradzić. Ale jeśli wie, jaki tytuł kupić, to trudno, żebym mu doradzała, mnie obchodzi sprzedaż każdej gazety, którą dostaje. I taka mi się najbardziej podoba, z którą nie mam kłopotów.

Jestem jednak dobrej myśli. Uważam, że „Kontakty” wróca do swoich czytelników, którzy je tak chętnie pierwotnie czytali. Gdy się wszystko unormuje, ludzie znów zaczną kupować gazety jak dawniej. „Przyjaciółka”, „Kobieta i Życie”, „Przekrój” teraz też leżą kilka dni, ale w końcu znikają. Człowiek ze wsi stoi nagle przed wyborem gazety do czytania. Nie bardzo wie, co się dzieje. Czy dlatego ich tak dużo, że w mieście nie idą? Ludzie różnie myślą.

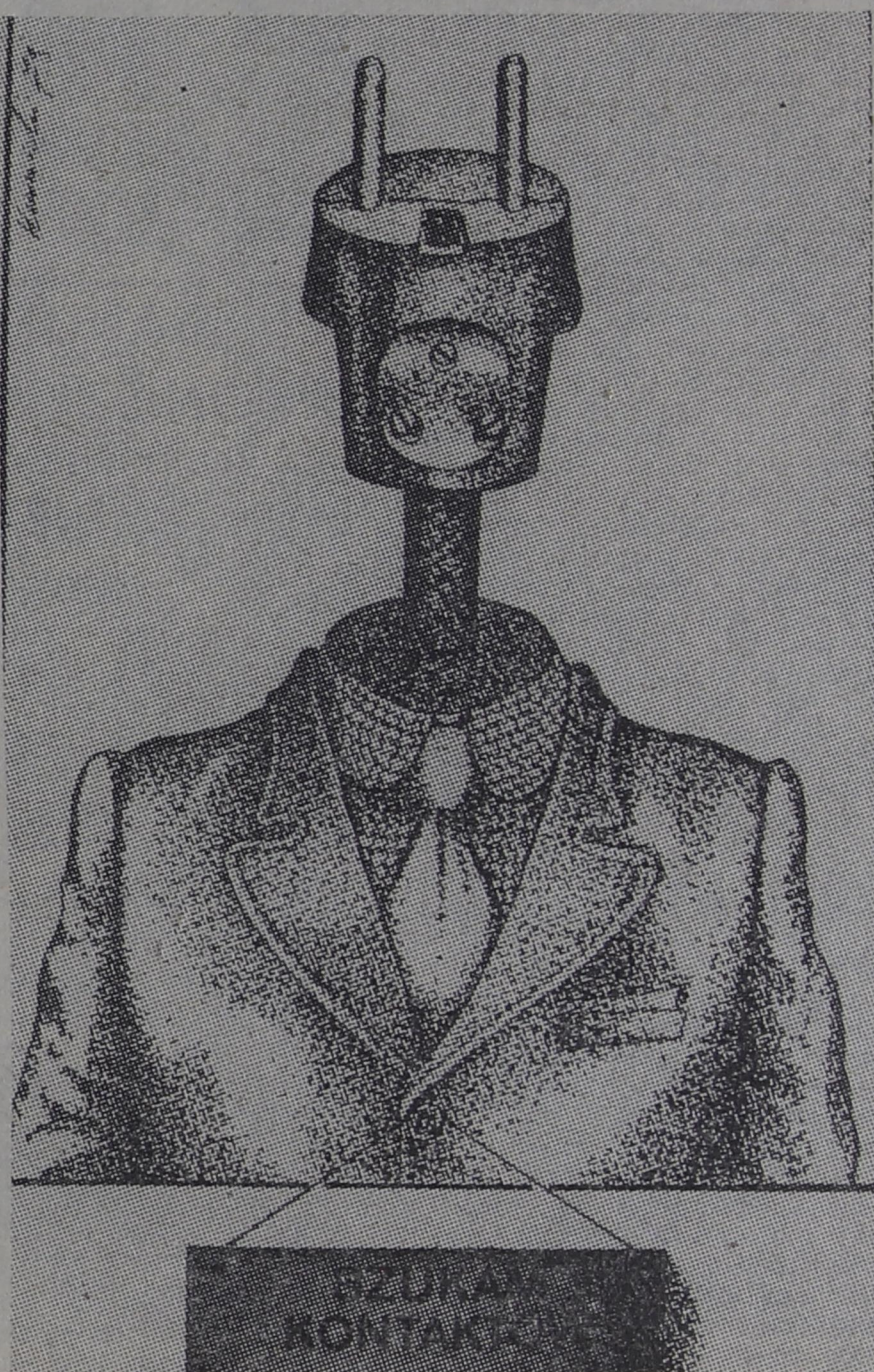
STANISŁAW PIETKIEWICZ z Ciechanowca: — Chętnie sprzedaję każdą gazetę, którą chce nabyć czytelnik. A jakie on przeważnie lubi?

Prym wiodą te z krzyżówką, horoskopem i to nie za długim, bo go zmęczy. Docenia także tygodniowy program telewizyjny. Niektórzy mogą także radiowy. Wydaje mi się, że „Kontakty” popełniły pewien błąd taktyczny. Otóż wtedy, gdy prasę dotknęła bardzo duża podwyżka cen i należało za wszelką cenę pozyskiwać czytelnika, zrezygnowały z programu. A niestety, teraz są takie czasy, że jeśli ktoś nabywa gazetę, to chce mieć w niej wszystko. Nie mogę potępić poczynań zespołu redakcyjnego. Sporo się zmieniło w samym piśmie, ale z tego punktu nie należało zrezygnować.

Jak sprzedają prasę? Dlaczego tak porozkładana? Uczy mnie tego praktyka. Wielu moich stałych nabywców nie pyta o tytuł, tylko o to, czy jest horoskop, krzyżówka. Właśnie odwróciłem je tymi stronami, aby

ma szans. Ale tak działa się wówczas, gdy naszemu życiu towarzyszyły wydarzenia nieprzeciętne. Teraz — oczywiście — mamy zastój w sprzedaży gazet. Dlaczego? We wszystkich pisze się prawie o tym samym. Poza tym ludzie takiej miejscowości jak Czyżew żyją własnymi sprawami i wtedy będą kupować gazetę regionalną, gdy dużo w niej znajdą o sobie, swoich znajomych. Numer „Kontaktów” w którym pisałem o Alku Grosickim, zatytułowanym fikuśnie „Niepokorny, czytaj szajbus”, czy o naczelniku gminy rozszedł się natychmiast. Dziewczyny chętnie kupowały te „Kontakty”, w których pisałem o lesbijkach. Ale co czyżewian może obchodzić na przykład mleczarnia czy oczyszczalnia ścieków w Grajewie? Może oni nawet dobrze nie znają tej miejscowości. Rozumiem, powinni wiedzieć,

jaką gazetę regionalną



chciałbym sprzedawać

im było łatwiej kupować. Podchodzi i mówi: „O, proszę mi dać gazetę”. A tak by mnie pytał, w której jest to, w której co innego, i tylko ciągle musiałbym szukać. Jak u mnie kiedyś szły „Kontakty”? Bardzo dobrze. Otrzymywałem 50–60 i nic nie zostawało. Obecnie dostaję 20–30 i nie zawsze wiem, co z nimi robić. Ludzie po prostu przechodzą obok, albo biorą te gazety, których kiedyś poszukiwali, marzyli o kupieniu: „Przyjaciółkę”, „Przegląd Sportowy”. Uważam, że równie rochwytywane powinny być „Kontakty”, bo jest to pismo nasze, wojewódzkie i ze wszelkich miar ciekawe.

WANDA WOJTKOWSKA z Ciechanowca: — Najbardziej przyzywałam się do sprzedawania „Współczesnej”, bo ona zawsze jest i o nią mieszkający tu ludzie najczęściej pytają. „Kontakty” są piśmem o wiele młodszym, może jeszcze nie wszyscy do nich tak się przyzwyczaili. Jednakże nie powiedziałabym, że spada ich poczytność. Trzeba brać pod uwagę cenę prasy, powolniejsze rozchodzenie się wszystkich tytułów, nie tylko „Kontaktów”. Najgorzej poszedł pierwszy numer. Teraz znów jakby krzywa czytelnika rosła. Wskazuje to, że mur nieufności do gazety, mimo zmienionej sytuacji, został już pokonany.

WALDEMAR WOJTCZUK z Czyżewa: — Chciałbym sprzedawać pismo regionalne takie, które by szło jak woda, ale nic w sobie nie zawierało, co pochodzi od wody. Mieliśmy niedawno taki właśnie okres, kiedy nasi klienci gotowi byli ustawić się po prasę nawet w najdłuższej kolejce. O „Kulturę”, „Politykę” nawet nie pytali, bo z góry wiedzieli, że nie

bo to w tym samym województwie i tak dalej. Ale jest chyba oczywiste, że dla nich bliższe i ważniejsze są sprawy Czyżewa. Sądę, że redakcja powinna zastanowić się, czy np. do Czyżewa nie dostarczać więcej egzemplarzy „Kontaktów”, w których byłoby więcej o naszej gminie, do Szczuczyna — gdy o Szczuczynie. Może akurat to zapewniłoby ów regionalizm pisma?

BARBARA WRÓBLEWSKA, kiosk nr 169 w Łomży: — Chciałabym sprzedawać przede wszystkim „Kontakty” dobre. Te, które tu leżą są akurat niezłe.

Natomiast moi klienci, jak to ludzie — niektórzy chwają i kupują. inni mówią, że tam same bujdy. Przecież nie wszystko musi się wszystkim podobać. Nie chciały już czytelniczki diabłów. Jak zachwalałam numer, że ciekawy, że nowy — bo zawsze tak robię — to niektórzy odpowiadali, że on straszy. W ubiegłym roku otrzymałam nagrodę pieniężną za sprzedanie dużej ilości naszego tygodnika. Teraz też dość dobrze się rozchodzi, bo jest w nim krzyżówka, a ludzie lubią taką rozrywkę. Młódzież wykupuje pismo dla horoskopu, zresztą ja sama też chętnie go przeczytam.

Chciałabym, aby „Kontakty”, które sprzedają były barwniejsze i zawierały program telewizyjny. Wielu klientów pod koniec tygodnia szuka programu w gazetach i wtedy nie kupuje „Kontaktów”, bo tam go nie znajdzie.

Pragnęłabym jeszcze rozprawiać nasz tygodnik drukujący jakąś ciekawą powieść w odcinkach, by wszyscy czytający czekali z niecierpliwością na następny odcinek i numer.

sondazę



— Uruchomienie Zakładu Mleczarskiego w Grajewie, choć nie jest on takim kolosem jak Huta Katowice, stwarza w naszym dziewczym terenie wiele rozlicznych kłopotów — twierdzi wicewojewoda, Zdzisław Truskowski. A zaczęło się od wielkiej radości, gdy 28 czerwca 1974 r. zapadła decyzja o jej budowie.

Wspaniała najnowocześniejsza w Polsce, proszkowania mleka rodziła się bez większych bólów z polsko-duńskiego związku. Dopiero cztery lata później, gdy inwestycja była bliska ukończenia, opinia publiczna uzbrojona w argumenty naukowców i wszelkiej maści ochraniających środowiska podniosła alarm, że taki mleczarski gigant bez własnej oczyszczalni ścieków grozi zniszczeniem lub zdegradowaniem unikalnej flory i fauny dorzecza biebrzańskiego.

We wrześniu 1978 r. wojewoda Jerzy Zientara zobowiązał inwestora, Wojewódzką Spółdzielnię Mleczarską w Łomży, do budowy oddzielnej oczyszczalni ścieków, a kilka miesięcy później Zarząd Główny CZSR „Samopomoc Chłopska” zgodził się na rozszerzenie inwestycji. Po tych decyzjach nastąpiły targi i przetargi o pieniądze, limity, wykonawców.

Gdy to uzyskano, powstał następny problem: jak to wcisnąć do tzw. portfela. A trzeba było się spieszyć bo najkrótszy cykl budowy trwa trzy lata, a za dwa — kończyła się umowa kontraktacyjna z Duńczykami. W lipcu 1980 r. Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich Budownictwa Przemysłowego w Białymstoku otrzymało dokumentację i jakimś cudem, a raczej statusem budowy priorytetowej, inwestycja „wskoczyła” do portfela w 1981 r., a „temat grajewski” — do Sejmu i masowych środków przekazu. Zima i wiosna 1981 r. to zażarta dyskusja fachowców i laików, inwestorów i wykonawców, władz i społeczeństwa nad tym, czy ścieki z mleczarni (pracującej ewentualnie na niepełnych obrotach) będzie można wpuścić bezpośrednio do oczyszczalni komunalnej, czy dopiero po podczyszczeniu, i jakim sposobem. Trudno było przeforsować jakiegokolwiek rozwiązanie, szczególnie że miejska oczyszczalnia, choć parktycznie jej budowę ukończono, pracowała jedynie połowicznie, a liczne usterki spowodowały, że nawet nie dokonano jej formalnego odbioru (notabene stan ten trwa po dzień dzisiejszy); przygotowanie podczyszczalni natomiast pochłonęłoby minimum 16 milionów złotych, co nawet dwa lata temu było niebagatelną sumą.

Mimo wątpliwości, dylematów i postulatów rozruch mleczarni wydawał się bardzo bliski. W marcu ubiegłego roku pisaliśmy („Oczyszczalnia sumień” D. A. Wroniszewscy „Kontakty” nr 10): „Za miesiąc projektowany jest rozruch zakładu mleczarskiego zgodnie z wymuszonymi przez sytuację zobowiązaniami — z produkcją ograniczoną do 1/3 mocy, ścisłym reżimem technologicznym, długą szkoloną kadrą. Na okrasę — oskarżenie prokuratora wojewódzkiego o groźących sankcjach karnych. A jednak...”

Gdy odwiedzałam budowę na przełomie października i listopada ubiegłego roku majster dziwił się, że mimo publicznych zapewnień ministra w Sejmie, o absolutnym priorytecie w dostawach materiałów do tej oczyszczalni oni mają ciągle kłopoty z cementem: „Diabli mnie biorą, gdy widzę, że sąsiednim firmom wiedzie się w tym względnie lepiej i to bez żadnych priorytetów. Gdyby nie ciągły brak cementu skończylibyśmy przed zimą elementy betonowe, a w marcu — całą oczyszczalnię”

Tymczasem zbyt optymistycznym terminem okazał się nawet koniec maja. Jedynym plusem tego poślizgu jest zapewnienie odpowiedniej ilości czasu na przekazanie papierów i problemów nowej dyrekcji. Nieprawdopodobne to, lecz prawdziwe — 1 maja zmienił się cały Zarząd Spółdzielni: jeden wiceprezes został zwolniony, drugi odszedł na emeryturę, a szef — inżynier Edmund Szulgo — odchodzi do innej pracy w Suwałkach. Ponad rok temu przed „groźącym” rozruchem zakładu mówił: „Jest tu dostatecznie dużo mankamentów, żeby za pół roku móc stanąć przed prokuratorem i mieć, po sakramentalnym: »Posiada pan odpowiednie kwalifikacje zawodowe? Przyjął pan, podpisał?» — komplet argumentów. Ale proszę spróbować nie przyjąć. Niby nawet nie ma nacisku, ale jeżeli brałem przez dwa lata »za darmo»

polsko-duńskie dzienieczko w prosku

DANUTA
WRONISZEWSKA

PATRZ! TO JUŻ DZIESIĘĆ LAT
MINĘŁO, JAK CIĘ ROZLICZALI
PO RAZ PIERWSZY!



pieniądze, to nie mogę teraz zdezerterować. A poza tym — może się uda?”

Dziś, przekazując zakład, inżynierowi Edmundowi Borawskiemu ma nie mniej obaw: „Przez te lata nie udało mi się, mimo starań, usunąć już zauważonych błędów technicznych. Najważniejsze to brak kazeiniarni oraz wirówki do nadkwaszonego mleka. Trudno sobie wyobrazić, aby udało się nam — szczególnie latem i przy obecnym wyposażeniu zlewni — całkowicie wyeliminować mleko nadkwaszone. System rozliczania punktów skupu też nie jest zadowalająco dopracowany. Poważne trudności będzie sprawiać kotłownia: ilość wytwarzanej przez nią pary jest wprawdzie dostateczna, ale ciśnienie — zbyt niskie, aby prawidłowo wysuszyć proszek. Tragedią jest nie to, że błędy zostały popełnione, lecz to, że nikt nie chce się do nich przyznać, a tym bardziej — naprawić. W tych sprawach moje stanowisko pozostawało tylko moim stanowiskiem — inwestorem i decydem był ktoś inny. Cóż z tego, że ustnie dogadałem się z wiceprezesa Centralnego Związku Spółdzielni Mleczarskich, Romanem Szagałą i z dyrektorem Biura Studiów Projektów i Realizacji Inwestycji Przemysłu Mleczarskiego w Białymstoku, Tadeuszem Kreciszem, odnośnie wirówki, kazeiniarni i dwóch tamkowców? Nie robiłem służbowych notatek ani protokołu, nawet nie wypadało tego robić. To tak, jakbym manifestował pod adresem prezesa Szagały nieufność. Jak miałem potem zareagować na punkty skupu w swoich rejonach: montowanie nowych urządzeń, szkolenie rolników i zlewniarzy. Jest to bardzo ważne, ponieważ batalia o jego pismo, że wnioskowane przez

nas zmiany „nie podlegały uzgodnieniu”, lecz bezpośredni inwestor będzie mógł je wprowadzić po uruchomieniu zakładu, jeżeli nadal będzie uważał je za konieczne. Jak w takim układzie nie denerwować się, nie mieć obaw? Myślę, że prawdziwe kłopoty czekają zakład dopiero po rozruchu. Wprawdzie sprawdziliśmy, co można było sprawdzić, zrobiliśmy rozruch na wodzie i częściowo na mleku, ale to nie gwarantuje powodzenia. Kadra jest młoda, niedoświadczona. Czy zdąży się wszystkiego nauczyć w ciągu tego jednego miesiąca wstępnej eksploatacji z udziałem Duńczyków?”

Kadra jest rzeczywiście młoda i niedoświadczona, a grajewska mleczarnia, to technologiczne novum. Nie brak jednak w Polsce licencyjnych zakładów mleczarskich, w których można zdobyć niemałe umiejętności. O sposobie szkolenia kadry decydował sam prezes Szulgo. Tymczasem przez wiele ostatnich miesięcy ludzie płatali się po zakładzie, praktycznie bez zajęcia. Tak długie utrzymywanie fachowców w stanie gotowości do pracy kosztowało w ubiegłym roku blisko 23 miliony złotych. Wprawdzie Centralny Związek Spółdzielni Mleczarskich zapłacił tę sumę z własnych rezerw i grajewska mleczarnia nie będzie musiała startować z takim długiem, ale niewielkie to chyba pocieszenie.

Owczesny prezes łomżyńskiej WSM, Zdzisław Truskowski, wyjaśnia: — Gdy ubiegłoroczny rozruch okazał się niewypałem nie bardzo było wiadomo, co zrobić z długo kompletowaną i szkoloną kadrą. W sezonie praktykowali w różnych zakładach, przygotowali też jakość surowca zaczyna się właśnie

mleczarzy i dwóch elektroników to też zapewne kwestia dni. Być może niedoświadczona załoga to i owo czasem zepsuje, ale o części załogi nie musimy się kłopotać, ponieważ duńska firma ma w Polsce odpowiedni serwis. W razie czego wystarczy wysuplać parę dolarów. W kryzysie stało się to nieco trudniejsze, ale nie niemożliwe, szczególnie dla przemysłu narodowego. Mleczarstwo zyskało bowiem tę nobilitację. Poza tym jest to bardzo zamożna firma. Gdy łomżyńska Wojewódzka Spółdzielnia Mleczarska jako inwestor zaskarżyła Biuro Studiów, Projektów i Realizacji Inwestycji Mleczarskich o 28 mln złotych strat poniesionych z powodu ślamazarnego wykonania robót w Grajewie, to chociaż arbitraż gospodarczy wypadł na korzyść WSM, Biuro Studiów zapłaciło jedynie parę symbolicznych milionów, a resztę ufundował Centralny Związek Spółdzielni Mleczarskich. Chociaż w gruncie rzeczy nie wiadomo, kto, komu i za co zapłacił.

WSM mogło się cieszyć swym prestiżowym sukcesem, a ja faktem, że wreszcie będę mogła wyjaśnić poirytowanemu prezesowi Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Zambrowie (a przy okazji i innym), dlaczego musi regularnie płacić sześciomilionowy haracz, taki „podatek od istnienia” na rzecz WSM. Ona płaci jeszcze większe sumy do Centrali, a ta funduje, refunduje, pokrywa, zwraca itp. nie zawsze może sensownie, ale takie jest życie. Przecież ten grajewski cud techniki też zafundowaliśmy sobie ze względu na mlekomiks, z produkcji którego na razie, a raczej na długiej, wypadnie zrezygnować, bo nie będzie dewiz na importowanie odpowiednich olejów. Zawsze jednak jakieś sproszone mleko pojawi się na rynku i do czegoś przyda.

Tylko kiedy? Prezes Borawski, którego pytam o to 24 maja br. nie ma ochoty na publiczne dzielenie się swymi obawami i nadziejami. Nie ma też czasu utwierdzić mnie w moim dobrym nastroju, gdyż przyjechał również były prezes Szulgo, aby skończyć „przekazywanie” zakładu. Odprawia mnie więc krótko (lecz optymistycznie!): — Oczyszczalnia będzie gotowa na dniach, a ja jestem tu po to, aby w świetle bieżących faktów podejmować konkretne działania. Zmiany dostaw mleka można dokonać w ciągu 48 godzin, a jeśli precyzyjnie ustalimy na dwa tygodnie wcześniej termin rozruchu, Duńczycy przyjadą, tak zostało ustalone. O szczegółach dotyczących proskowni najwięcej dowie się pani od dyrektora Wody z warszawskiej Fabryki Aparatury Mleczarskiej.

Przechodzi mi jednak ochota na szczegóły, gdy dyrektor Woda informuje, że przyjazd Duńczyków na rozruch w czerwcu — lipcu jest bardzo wątpliwy: — Jest to w ogóle delikatna kwestia, bowiem umowa kontraktacyjna wygasła już w 1980 r. Gdyby nie zależało im na dalszej dobrej współpracy z Polską, prawdopodobnie byłiby większymi formalistami i nie przyjeżdżali po wygaśnięciu kontraktu. Przez nasze opóźnienie budowlane mogli oni zakończyć całkowity montaż dopiero w listopadzie ubiegłego roku. Wtedy też była pierwsza — przetrwana zresztą ze względu na brak oczyszczalni — próba rozruchu. Obiecali przyjechać po zakończeniu budowy oczyszczalni. Teraz okazuje się, że oni się wprawdzie z tego nie wycofali, ale u nich wakacje to rzecz święta — fabrykę się zamyka i wszyscy jadą wypoczywać. Może się więc okazać, że przyjadą dopiero w końcu sierpnia lub we wrześniu. Polimex-Cekop robi dyplomatyczne układy — może uda się ich namówić na wcześniejszy przyjazd. My sami nie możemy przeprowadzić tego rozruchu, nie my też udzielamy gwarancji, lecz kontrahent. On też powinien przeszkolić załogę w czasie próbnej eksploatacji. Sporo w tym elektroniki, układów sprężonych, pneumatycznych, automatyki. Również dla nas jest to ogromny poligon doświadczalny. Wprawdzie potrafimy już sporo rzeczy wykonywać sami — jesteśmy jedynym w Polsce i prawdopodobnie w krajach demokracji ludowej producentem urządzeń proskowniczych — ale w przyszłości chcielibyśmy całkowicie wyeliminować import. Po proskowni w Grajewie czekają nas podobne inwestycje w Pasłęku, Węgrowie, Wieluniu i Suwałkach. Z każdą następną powinno być coraz mniej trudności.

Rys. Marka Polańskiego

na punktach skupu. Jednak po sezonie kadra nie mogła być odpowiednio wykorzystana. Ze względów ekonomicznych należałoby zwolnić tych pracowników, jednak natychmiast trzeba by było robić nowy nabór i nowe szkolenie. Sensowniejszym wyjściem było pozostawienie tych ludzi w zakładzie, dbając o dalsze podnoszenie ich kwalifikacji. Kierownictwo w tej mierze nie stawalo na wysokości zadania: bezczynność lub pewne niecelowe zajęcia miały demoralizujący wpływ na załogę; doszło do podziałów i rozbicia na różne grupki. Sądzę jednak, że zjednoczy ich wspólna praca i trudności. Tych ostatnich może być niemało, a szczególnie z całkowicie zautomatyzowanym układem proskowniczym. Sprawne jego funkcjonowanie jest tym ważniejsze, że mamy tu do czynienia z dużymi wydajnościami, a więc każde niedopatrzenie będzie bardzo dużo kosztować. Myślę, że można zaufać prezesowi Borawskiemu, że potrafi poprowadzić zakład w tym najtrudniejszym okresie.

Optymizm jest zaraźliwy. Nawet mnie się udziela. Podejrzewam więc, że zamiast biadolić nad zbyt niskim ciśnieniem kotłów prezes Borawski kupi te dwie „dwudziestki”, które niedawno jakaś firma oferowała za pośrednictwem „Kuriera”, albo uzyska akceptację dyrektora Henryka Łapińskiego z białostockiego Biura Studiów na podwyższenie parametrów posiadanych „piętnastek”. Kotły wytwarzające ciśnienie pary 15 atmosfer mają przecież tolerancję wytrzymałości 20 atmosfer, a w proskowni starczyłoby 18. Operacja techniczna jest prosta — wystarczy nieco przesunąć zawór.

Jak są dwa wyjścia nie jest złe. Zatrudnienie czterech inżynierów-

radikalnymi cięciami, sięjąc wśród ludzi panikę groźbą utraty pracy. Pozytywny oddźwięk i tak jest: pracują lepiej, inne jest podejście do dyscypliny pracy.

PODZWONNE DLA ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

To były jedne z ważniejszych posunięć organizacyjnych. Byliśmy jednak świadomi, że nie uzyskamy efektów, jakich byśmy chcieli przy poprzednio obowiązujących systemach motywacyjnych. Nie wystarczy bowiem deklaracja miłości do reformy, ani apelowanie do społecznej świadomości, by automat zaczął działać. Ludzom trzeba wyraźnie powiedzieć, ile i za co płacimy, by lepsza praca stała się celem wymiernym. Nowy system premiowania wprowadziliśmy od 1 marca br. Główną zasadą jest to, że za dodatkową produkcję jest dodatkowy wymiar premii; za niższą od założonej — niższa premia.

Jak to zostało przyjęte? Różnie. Nie od razu, niestety, można było pożegnać się ze starą tendencją: premia się należy, i — jak poprzednio — niech dyrektor się martwi, gdy teraz to nie ode mnie przecież zależy. Chcieliśmy raz na zawsze skończyć z anonimowością: jak wypracowaliśmy to wszyscy i jak zawalili — to też wszyscy; skończyć z dyrektorem w roli Świętego Mikołaja z workiem grosza. Tym bardziej, że ten schemat działał w przeszłości szerzej: dyrektor jechał do zjednoczenia i też prezentował obiektywne trudności i wszyscyśmy się po główkach poglaskali, tylko wyników nie było.

Pamiętam np. rozmowę z brygadziwą: — Dlaczego moja zmiana otrzymała tyle, a tamci więcej? Mówię: — Czy pan się zgadza, że trzeba płacić za wynik, a nie za wrzenie? Zgadza się. — No to patrz, twoja zmiana zrobiła tyle, tamta więcej. To chyba i zapłata musi być w jakiejś relacji i na pewno nie takiej, że ja stwierdzę: — Jesteś Wolejko wspaniałym brygadziwą i rozumem, że te kłopoty nie były od ciebie zależne, więc naliczmy premie tobie i twoim ludziom. Wy zaś powiecie: — No nie, takiego szefa jak Kowalski to nie ma lepszego w okolicy! Ale wynik — diabli wzięli. Trzymaliśmy się konsekwentnie tego rozumowania, chcąc jak najprędzej skończyć z podobnymi zaszłości. Skutki są: w styczniu, lutym było nieciekawie, w marcu był wynik ładny, w kwietniu jeszcze lepszy, a w maju zapowiada się kolejna zwyżka produkcji. Przy czym — zaopatrzenie w surowce było porównywalne w tym czasie: w styczniu i lutym staliśmy z powodu braku surowca tylko dwa dni.

SKOSTNIAŁE OGRANICZENIA

A jeśli zdarzy się, nie z naszej winy, że postoiśmy dłużej, to nikt premii nie weźmie — to proste. Co zatem możemy pracownikowi zagwarantować? Tylko tę część płacy, o którą może zakład pociągnąć do sądu i wygra, bo ma ją zapewnioną w umowie o pracę. Przyznam się, że nie jest to szczytem moich marzeń. Bowiem na kwotę, która się prawnie należy składa się 60 procent jego podstawowej płacy, a reszta — wyłącznie za obecność. Są to dopłaty za II i III zmianę, ekwiwalent za deputat węglowy, dodatek za szkodliwość, stażowe. To żadna zachęta do wysiłku. W założeniach do uchwały Rady Ministrów proponuje się znakomitą rzecz — zwolnienie przedsiębiorstwa ze skostniałych ograniczeń: to wolno, a tego nie. Narzuca się jedynie wielkość ogółem wypłaconego funduszu. Za celowe zostanie też najprawdopodobniej uznane włączenie części powyższych dodatków do pensji podstawowej. Ten moment dobrze rozważany będzie miał niepośledni wpływ na powodzenie reformy. Musi być jasny, prosty system motywujący ludzi do pracy. Jego ramy mogą być określone, ale resztę zakład sam powinien dostosować do swojej specyfiki.

Ustaliliśmy, że pracownik musi dostać część, i to sporą — zależną od wyników. Ale też musi być możliwość jej odbierania! Co do jednego jestem niespokojny: boję się, by po wprowadzeniu obwarowań ogólnych, nie wypadła ona zbyt mała, nie motywująca. Mamy przecież w swej kilkumiesięcznej praktyce już i to potknięcie.

Według uchwały 243 drugim członem motywacji ma być część z zysku do podziału dla załogi — moż-

na po I kwartale wypłacić 25 proc. kwoty naliczonej na nagrody. To poważny błąd! Co to jest u nas — raptem 500 złotych. Te zasady muszą być ponownie opracowane i to jeszcze w I półroczu, żeby nie zaskakiwać ludzi. Albo powiedzieć wprost: ten rok jest niefortunny i rozliczymy całość z końcem roku.

CHWYTANIE RÓWNOWAGI

Proponujemy — nasz system motywacyjny jest na tym oparty — premiować to, co robi się ponad normę. Czy tak już będzie zawsze? Co z jego przydatnością po osiągnięciu pułapu wydajności, w czym później szukać „ekonomicznego bicia”? — można zapytać. Ale prawda jest przecież taka, że startujemy z najniższego poziomu. Na trzy lata, założony okres dochodzenia do równowagi rynkowej, mamy więc sprawę z głowy. Później zaś — wierzę w to — zacząć działać inne mechanizmy: walka o zysk cenami, jakością wyrobów. Wówczas rzeczywiście parametry, które premiuujemy obecnie — ilość i jakość — ustabilizują się i trzeba będzie szukać nowego systemu motywacyjnego.

bicz

ekonomiczny

wyznania szefa

go — tak daleko jednak jeszcze nie wybiegamy myślami.

Próbowaliśmy też włączyć koszty produkcji do systemu motywacyjnego — byłaby to kapitalna sprawa. Jak od jedenastu lat jestem dyrektorem, to nikt mnie w tym okresie nie zapytał: jakim kosztem zrobiłeś, człowieku, produkcję. Jeśli mimo to w jednostkach przeze mnie kierowanych ta sprawa była regulowana, to tylko moją etyką zawodową. I to jest pierwszy i zasadniczy krok w reformie — zauważenie czynnika kosztów. Trzeba jak najszybciej zrobić następny — by dostrzegli go wszyscy zatrudnieni.

Nie jest to, niestety, proste i to z bardzo prozaicznej przyczyny. Zmiany cen spowodowały tak nieporównywalne z poprzednim okresem relacje, że trzeba dopiero stworzyć bazę statystyczną. Traktując rok 1982 jako podstawę do analizy sytuacji kosztowo-finansowej przedsiębiorstwa chcemy z początkiem przyszłego doprowadzić do tego, by każdy dział organizacyjny otrzymał wraz z zadaniami pulę środków do dyspozycji. Ale znów — nie można popadać w skrajność. Jeśli np. narzucę głównemu mechanikowi określoną kwotę na remonty bieżące i roczne, to on może mi tak „ekonomicznie” zadziałać, że sam wyjdzie na swoje, ale ograniczy naprawy tak, że w następnych latach wyjdzie mi to bokiem.

NA CO NAS NIE STAĆ

W rozwiązywaniu podobnych problemów bardzo pomocny był dla nas udział w grupie 102 zakładów-konsultantów założeń reformowych. Nie znaczy to, że byliśmy jedynie pasywnymi — sami również zgłaszaliśmy uwagi, z których wiele uwzględniono. Z tego się cieszymy, ale — czego nie ukrywam — nie wszystko jest po naszej myśli. Przykładowo, sposób tworzenia funduszu mieszkaniowego i socjalnego. Najogólniej mówiąc, i z jednym, i z drugim cofnęliśmy się. Kwoty zostały niby te same, ale przecież ceny poszły 3-4 razy w górę. Na moje wątpliwości w tej materii Zdzisław Sadowski, zastępca Pełnomocnika Rządu ds. Reformy, uciął dyskusję: — Towarzysze, w tej chwili nas na to nie stać. Przecież skoro realne płace spadły średnio o 20 proc., to musiała się cofnąć i część socjalna. Do końca się z tym nie zgadzaliśmy — byliśmy za tym, by utrzymać się przynajmniej na poprzednim poziomie. Ale przy tej argumentacji musieliśmy ustąpić. Pod warunkiem, że w przyszłości — gdy już złapiemy trochę doświadczeń i jak nas będzie na to stać — do tematu wrócimy. Skutki tego są bowiem już odczuwalne: na wczasy stacjonarne zgłosiło się 14 osób i to są wszyscy chętni spośród tysiąca zatrudnionych!

Sprawa mieszkaniowa: budując blok dla 60 rodzin stawialiśmy go za

około 20 mln; teraz ten sam blok kosztuje 60 mln zł, a nasz roczny odpis na fundusz mieszkaniowy wynosi 1 mln. Oczywiście, że ta sprawa jest „skopana”, tym bardziej jeśli mamy serio traktować zapewnienia o preferowaniu budownictwa mieszkaniowego. Przecież jeżeli Minister Krzak chce zaciągać pożyczkę od zakładów, to czy nie lepiej byłoby dać im do dyspozycji mechanizm pozwalający budować z własnych środków? W ten sposób wyciągnęliby się też od nich pieniądze na cel, bądź co bądź, społeczny, prawda?

Ktoś powie, że lepiej byłoby, gdyby przedsiębiorstwa łożyły na budownictwo w danym regionie czy do krajowej puli, a nie potentaci przemysłowi — z krzywdą dla mniejszych jednostek — gwarantowały mieszkania tylko swoim pracownikom. Nie stawiałbym tak sprawy. Przedsiębiorstwo jest miejscem, gdzie tworzy się dochód narodowy. Część zysku powinno odprowadzić jako podatek i to jest w porządku, ale też powinno je stać na to, by zabezpieczyć przynajmniej swoich ludzi.

Jakiej odpowiedzi spodziewamy się z banku? Oczywiście pozytywnej, gdyż jesteśmy przedsiębiorstwem gwarantującym wypłacalność. Założmy jednak, że banku nie przekonamy i staniemy przed wizją bankructwa. Co wówczas?

W takiej sytuacji, jak słyszałem, jest w kraju kilkadziesiąt zakładów — banki odmówiły im dalszego kredytowania. I słusznie! Czego się natomiast boję: że zwiększy się nacisk na banki ze strony „bankrutów”. Również ze strony władzy, dla której te właśnie przedsiębiorstwa są obecnie głównym zmartwieniem. Jeżeli finansisci poddadzą się presji, stanie się to z ogromną szkodą dla reformy. Jestem zdecydowanie za obroną czystości jej zasad — w tym względzie nie może być żadnych ustępstw. Niedawno „Polityka” wydrukowała tabelę sporządzoną dla światowych banków, w której podaje się wiarygodność finansową państw w procentach. Podobne listy, co roku weryfikowane, tyle że przedsiębiorstw — powinno się sporządzać również dla naszych krajowych banków. Inna rzecz, że jeszcze co innego by się im przydało:



Pewnie, że — biorąc na zdrowy rozum — bardziej opłacalny powinien być dom, który stawia wyspecjalizowana jednostka budowlana, a nie np. fabryka tasemek. To rozumowanie nie ma jednak znaczenia w naszych realiach. Dopóki będą ceny regulowane, nie będzie gry rynkowej, to będzie właśnie tak, że zakład, który nawet dobrze pracuje będzie mógł postawić sobie blok raz na 60 lat. Na dziś pozostaje więc martwić się, co zrobić, gdy za parę lat kadry się wykruszą i trzeba będzie przyjmować fachowców spoza Grajewa.

JAK UNIKAĆ BANKRUCTWA?

Od powyższego mamy trochę pilniejszy kłopot: uzyskać jasność w naszych finansach. Nas jak wiadomo, obowiązują ceny regulowane, więc zysk możemy obliczyć w miarę dokładnie. Wiemy też, że mamy do spłacenia roczną ratę kredytu w wysokości 340 mln zł. Ponieważ 170 mln spłacamy z amortyzacji, resztę trzeba spłacić z zysku i... nie starczy!

Usiąść i płakać? Nie, trzeba szukać wyjścia. Minister Finansów może w uzasadnionych przypadkach zastosować ulgi, zwalniając np. z podatku dochodowego. Domyślam się jednak odpowiedzi na nasz wniosek: — Mimo iż w porównaniu z innymi zakładami nie macie równego startu w reformie, to jest przecież grupa firm w jeszcze gorszej sytuacji. Wy, towarzysze, macie wyjście — negocjować z bankiem o przedłużenie czasokresu spłaty zadłużenia; rata będzie mniejsza i będzie was stać.

zastrzyk ludzi, rzeczywiście przygotowanych do reformy, takiego skrzyżowania finansisty z menadżerem. Żeby mógł nie tylko być partnerem w sprawach rozliczeniowych, ale umiał też ocenić tego, który patrzy głęboko w oczy i przysięga — ile w tym prawdy, a ile gry. Inaczej cała rzecz padnie nie tyle za sprawą ludzi złej woli, co ignorantów.

Chcę jednak być dobrze zrozumiany: nie jestem za tym, by przy przejściowych kłopotach od razu urządzić pogrzeb — co najwyżej tym, którzy nie mają perspektyw w horyzoncie kilku lat. Trzeba je jednak wskazać i udowodnić ich realność. Takim najprostszym wyjściem może być zmiana profilu produkcji, postawienie na jakość wyrobu, by znalazł on odbiorcę za granicą. Jeżeli jednak — jak np. przy naszych nieszczęśliwych promach — koszt dolara osiągnie 300 zł, to chyba oczywiście że lepiej w ogóle nie produkować. Bo co — mamy eksportować dochód narodowy?

Weźmy kolejny przykład: dwa zakłady produkujące te same wyroby sąsiadują przez płot i z jednego idą one jak woda, a z drugiego zawałają magazyny. Co można zrobić: zlikwidować to gorsze przedsiębiorstwo i przesunąć ludzi do lepszego; połączyć je w jeden organizm gospodarczy i zastanowić się nad przeprofilowaniem. Fakt, że nie zawsze jest to takie proste. Ale ofiary muszą być! I tę prawdę trzeba ludziom zaszczylić. Inaczej, my wszyscy wyjdziemy na ofiary.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

NINA OMELCZENKO
Fot. GABOR LÖRINCZY



Józef Mischuk został posiadaczem ojcowizny. Został i nie został. Akt własności sporządzony zgodnie z prawem czynił go właścicielem ponad 6-hektarowego pola, ale tylko na papierze, bo mocą urzędu większa część tej działki została przekazana na skarb państwa. „Ojca ziemia — a mnie dali wymówienie”. Mischuk wówczas specjalnego rabanu o tę ziemię nie robił. Z dawien dawna określił swój status jako chłop-robotnika, a praktycznie robotnika szepietowskich zakładów, produkujących betonowe elementy budowlane. Codziennie dojeżdżał do pracy, a zbiegał i mało ruchliwe od cementu ręce uciekały coraz częściej od kontaktu z ziemią.

Zresztą na niej od dawna gospodarzył ojciec. On właśnie, robotnik rolny, który wraz z innymi z przydworskich czworaków pracował w 200-hektarowym majątku Beńcia Rosochackiego, jak go teraz nazywają protekcyjnie dawni podwładni — otrzymał od Rzeczypospolitej Polskiej Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych w wykonaniu dekretu PKWN o wprowadzeniu Reformy Rolnej z dnia 6 IX 44 r. nadział ziemi pięć i ćwierć ha z majątku Lubowicz Wielki gminy Klukowo, położonej od północy gościńca do Kostrów, od południa dotykającej działki Grzybowski Aleksandra, od wschodu — Tomczuka Hipolita, od zachodu — Gościńca Ciechanowieckiego. Dokument ten obdzielał również świeżo upieczonemu, pełnoprawnego gospodarza jedną bronę, jednym pługiem jednoskibowym, jednym radłem. Wartość tej nieruchomości obliczono wówczas na 97,75 q

sność, to ojciec w ciechanowieckiej rodzinie stał się niepotrzebny. Kiedyś Józef, wracając z pracy, spotkał staruszkę siedzącą na ławeczce w Klukowie. Aż płakał. „Jadę gdzie popadnie, bo oni mnie z domu wygnali” — tak miał powiedzieć. Wziął więc Józef ojca do domu, co było robić? Kłótnie i niesnaski poszły w niepamięć. Tak to Aleksander dożył swych dni w rodzinie Józefa. Wcześniej jednak uczynił zadość życzeniu syna — przepisał na niego gospodarstwo, gwarantując sobie dożywocie w wysokości 600 zł, co się skwapliwie teraz podkreśla.

Dziś trudno dociec tej prawdy, bo zacierają się w rodzinnej niepamięci. Czy to z powodu braku ojcowej decyzji, wyznaczającej prawnie i dokumentem dziedziczącej tej ziemi, czy z braku zainteresowania wynikają-

deptywać urzędnicze ścieżki. I dwa razy w tygodniu chodził do urzędów. Jako argumentu używał swojej licznej rodziny: że trudno im żyć, że bieda w kąt zagląda. „Nie myśmy je panu zrobili” — słyszał.

Sam to teraz przyznaje, że gdyby naczelnik nie rzucił mu kiedyś na odchodnym: „Ja mogę panu tę ziemię zwrócić, ale nie muszę”, zapewne szybko by się zniechęcił. To go przekonało, że warto o swoje walczyć. Miał poparcie wioskowej „Solidarności”, która błogosławiła każdemu „Nie” i specjalnie nie wdała się czy to veto stawia kiepski czy dobry rolnik. — Tych słów się ująłem — powie dzisiaj. Poczekalem, aż wszystko sprzątną i tak zrobiłem.

Akt oskarżenia zarzuca mu: „W dniu 3 września 1981 roku w Lubowiczu Wielkim bezprawnie zaorał

je starcza nieudolność i niska kultura. Chyba bez żalu oddałby je w gospodarowanie innym rolnikom, gdyby nie wybudowano i nie oddano w ubiegłym roku wielkiej bukiar-ni na 300 stanowisk. W tej sytuacji zrezygnowanie z najmniejszego nawet kawałka gruntu — w ich posiadaniu znajduje się 123 ha, a potrzeba 250 ha — nie byłoby oznaką gospodarskiego myślenia. Tej ziemi jeszcze im brakuje. Obecny stan posiadania Spółdzielni Kółek Rolniczych oblicza się na 1 procent gminnych gruntów. A 10 procent gminnych do-staw żywności pochodziło w ubiegłym roku gospodarzom właśnie z SKR-owskiej hodowli. Czy któryś z rolników miał przed nimi kukurydzę na paszę? A plony wcale nie były ani lepsze, ani gorsze. W ubiegłym roku spółdzielnia oprócz koncentratów

wzgardzona

ALICJA ZAGÓRSKA

cego z robotniczej profesji syna, gospodarstwo kulawiło na drodze do postępu. Ratunkiem stały się kredyty. Jako prawowity właściciel firmy — otrzymał je ojciec. Ale inwestycje w gospodarstwie jakoś się nie pojawiały. Pieniądże przeciekały przez palce i ziemia nie miała z nich pożytku. „Ojca długi — ojciec będzie je spłacał”. I w ten czas, kiedy Józef

działkę orną o powierzchni 4,14 ha, stanowiącą własność SKR i w celu jej utrzymania w posiadaniu używał groźby bezprawnej, zmuszając w ten sposób do zaniechania korzystania z tych gruntów przez tę spółdzielnię”.

— Z nerwów tak zrobiłem. Sąd ten akt podniecenia nerwowego ocenił na 7 tysięcy zł kary. I tak sprawę, zdaniem oskarżonego, potraktował

nie kupowała państwowych pasz w ogóle.

Uspokojona forma uprawy rolniczej ziemi znalazła się pod ostrzałem wiejskiej „Solidarności”. — Dać chłopom ziemię, oni ją lepiej uprawiają. To hasło przetoczyło się przez całą Polskę i chłopcy zaczęli je wprowadzać w życie, rugując społecznych właścicieli. Na tej właśnie fali Mischuk zaczął upominać się o swoje. Oddać jemu, to zaraz za nim pójdą inni. Przypomni o „swoich” gruntach właściciel z Kostrów, którego ziemia została przejęta za zadłużenia.

Naczelnik gminy Klukowo, Stanisław Mazur, ma w tej sprawie zdecydowany pogląd. „Nie, tego kawałka nie oddamy Mischukowi. Nie ma po temu żadnych prawnych podstaw. Poza tym nikt tam nie gwarantuje, że ziemia znajdzie następcę, ani też że będzie dobrze uprawiana. Zresztą we wsi lepiej wiedzą, jakim Mischuk był gospodarzem!”

WZIĄĆ ZIEMIĘ SERCOWO

— Jak można, to dlaczego tej ziemi nie dać? Nie jest to głos wioskowy odosobniony. — Chociaż tak prawdę mówiąc, to bardziej Mischuk pilnował swojego murańskiego fachu niż gospodarowania. Ono było zawsze na drugim planie. Od wiosny do jesieni uganiał się o prywatnych budowach. I pewnie wcale nie zajmowałby się gospodarstwem, gdyby go przymusowo nie zwolniono z roboty.

— A gospodarz z niego to taki — powie ktoś. — Jak zgromadził sobie budulec na nową stodołę, to bele leżały tak długo, aż przegniły i trzeba było je spalić.

— Zanim ziemia została przejęta za bankowe długi — doda Jan Koc — chodzili przecież do niego urzędnicy z gminy. Pytali, czy on się tą ziemią zajmie. „A po co mi ona potrzebna, mam swój fach” I tak zostało.

— Czy któreś z dzieci przejmie po nim gospodarstwo? Trudno wyrokować na „nie”. Trójka jeszcze chodzi do szkoły. Jedno uczy się w szkole masarskiej w Mazowiecku; najmłodszy, dziewczynka i chłopiec, w Kuczy-nie, w siódmej klasie.

Mischuk jeszcze nie rezygnuje. Podpowiada gminie, że mogłaby ten kawałek dać mu na próbę. Zobaczyć, czy będzie pole dobrze uprawiał, a jak nie, to mogą przecież zawsze je na powrót odebrać. Mogą też dać jemu ten kawałek a zagospodarować grunta Marchalskiego, który poszedł już na rentę i zostawił państwu trzy-hektarową działkę. Też przecież niedaleko położona. No, trochę słabsza tam ziemia i w kilku kawałkach. „Oni w tym SKR tak naumyślnie mi robią, że bym ja tej ziemi nie o-bra-biał. Powinni wziąć tę sprawę sercowo”.

Kiedy opuszczam Mischukowy dom, powraca właśnie ze szkoły jedno z dzieci; młody, rozrośnięty chłopak, odstrojony w blue-jeans. Po chwili przesadza płot i siada po sąsiedzku na ławeczce przed domem sąsiada. Gaworzy z rówieśnikami i wygrzewa się na słończku.

Kto tę ziemię weźmie? Na pewno nie ten, kto nią wzgardził.

Fot. GABOR LÖRINCZY



żyta. Nowe pomiary zwiększyły jej wielkość do 6,06 ha i wartość do 110 q żyta.

GDZIE SIĘ DWÓCH BIJE

Dla Aleksandra Mischuka, ojca, ziemia miała jeszcze jedną dodatkową cenę. Tak sobie umyślił, że dopóki jej prawnie nie dostanie w swoje ręce żaden z dwóch synów, dopóty będzie ona gwarantem spokojnej starości. Ale ta zapobiegliwość nie sprawdziła się w życiu. Synowie się niecierpliwi. Ten, który ostał się w Lubowiczu, Józef, wymawiał mu opieszałość w podejmowaniu decyzji, a co za tym szło i kawałek chleba. Wtedy zabierał się i ruszał do drugiego syna, do Ciechanowca, by tam znaleźć życiowość i zrozumienie. I tak kursował między jednym domem a drugim, wzbudzając politowanie wśród mieszkańców wsi: „Ze też nie ma kary boskiej na takie pomiatanie staruszkami”. Od-dawał ziemię w dzierżawę, gdy nie miał siły już jej sam uprawiać, bo Józef do pracy się nie kwapił, powtarzając: „A bo to moje?”

Janowi z Ciechanowca również przyrzekał przepisać gospodarstwo w Lubowiczu. Jak mówi Józef, bratowa czekała jakiś czas na zrealizowanie obietnicy. I kiedy urząd prawnie zarządził, by tym, którzy ziemi nie użytkują nie przepisywać na wła-

sporządził akt własności, państwo opomniało się o swoje pieniądze.

Józefowi została działka, której wielkość nakaz płatniczy określa na 1,90 ha — z tej powierzchni w gminie naliczają podatek. Dopóki pracował w szepietowskiej betoniarni, biedy nie było. Kawałek ten łątał budżet licznej rodziny — bo dzieci miał już siedmioro. Przyszedł jednak taki czas, kiedy Józef Mischuk zrezygnował, jak mówi, z pracy w Szepietowie i chciał się zająć tak naprawdę gospodarowaniem. Zaczął się rozłączać i spoglądać coraz zazdrośniej na ten czterohektorowy kawałek, co ongiś był już prawie jego, a teraz użytkował go eskaerowski interwent. Graniczył przecież z jego pasmem, które dziś uprawia — tylko rękę wyciągnąć.

MOGĘ ALE NIE MUSZĘ

Wiejska odnowa, jakże różnie przez różnych rozumiana, podsycała Mischukowe nadzieje, że może coś się zmieni, że ten grunt klasy trzeciej, wyjątkowo atrakcyjny, bo wygodny do niego dojazd, ma szansę, znaleźć się z powrotem w jego rękach. Cóż z tego, że wiek na króciutko przed emeryturą — są przecież następcy. Takiej okazji przegapić nie wolno.

Natychmiast się nadziei, z wielką mocą zaczął dobijać się o swoje, wy-

łagodnie, zwalniając nerwowego obywatela od opłaty kosztów sądowych. Pierwszy krok na ziemi swojej i nie-swojej został zrobiony. Więc poszedł dalej, licząc na to prawo: kto sieje, ten zbiera — obsiał pole żytem.

ZBIERA TEN KTO PIERWSZY

Powie prawowity użytkownik, Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Klukowie. Ale do spornego kawałka ziemi przyjmuje pozycję obiektywną, nawet specjalnie nie wzbraniając się przed tym, żeby oddać ziemię. Czy teraz jest to społecznie uzasadnione? Jakże są gwarancje, że dostanie się ona w dobre ręce?

Jan Tondera, dyrektor SKR-owskiego gospodarstwa, nie upiera się, by dotychczasowe użytkowanie gruntów do nich przynależnych wzbudzało podziw okolicznych rolników. Ale ktoś tę ziemię musiał zagospodarować! Ze akurat przypadło to w udziale uspołecznionej instytucji? Nie jemu rozsądzać teraz zarządzenia odgórne. Faktem bezspornym i widocznym były coroczne straty. Ale przecież się zmniejszały — ostatnio 600 tysięcy zł. Był to jednak haracz płacony za wejście w dziewiczy teren, za gospodarowanie na pustych polach. Nie zawsze te rolnicze kawałki dostawały się spółdzielni w dobrym stanie. Częstokroć znaczyła



cud w Łysych

Pierwszy raz Głos wszedł na taśmę u Szoków, 17 I br., a potem — wraz z nią i magnetofon — przeniósł się do rodziny Szablaków, skąd wysłała synowa Szoków, Irena. Ona również, podobnie jak jej najbliżsi, zaufała Głosowi i wykonywała jego polecenia; więcej sceptycyzmu wykazywał małżonek. Głos pojawiał się na taśmie — na zmianę z dwoma innymi — do 8 V br., kiedy to specjalną naukę, ukraśzoną życzeniami imiennymi, poświęcił 22-letniemu Stanisławowi Szablakowi. Cała rodzina, uszczęśliwiona wyróżnieniem wśród innych wiernych, popadła w całkowitą zależność od woli ducha.

mówię pogodnie, aby rozwiązać trochę tę atmosferę mistycyzmu i przejść do bardziej rzeczowych pytań. Ich efektem jest informacja, że nauki można było odtwarzać tylko trzy razy (bo tyle ran miał ukrzyżowany Chrystus), natomiast ich zapowiedzi słyszeli tylko po razie; ponadto: Głos melodii nie kasował, pomijając te z nabożnymi pieśniami, nagrałymi u Baldygów. Zegar, który wybijał godziny podczas cichej mszy świętej, miał dźwięk podobny do tego, który wiści na ścianie kuchni Szablaków; u nich także skrzypią drzwi wejściowe. Pozostało do odnalezienia tylko małe dziecko...

Proszę państwa — zwracam się do czwórki obecnych Szablaków, świadoma ryzyka wyrzucenia mnie po tym pytaniu za drzwi — ja nie słyszałam Głosu, więc pozwólcie mi wątpić. Aby wątpić przestała, muszę wyeliminować wszystkie możliwości nieczytnych sztuczek technicznych. Efekty tego „cudu” są oplakane: syn w szpitalu, a jego choroba pozostaje w ścisłym związku z Glosem, cała rodzina żyje pod pręgierzem podejrz-

wisko — że mnie nie słyszysz”. Bardzo on się przejął tym wszystkim, tak że nawet zostawił nam podpisany obrazek, ale gdzieś się zapodział... Pani też musi zostawić adres; jak coś będzie, damy znać. No, uwierz pani tak, jak i my, bo tego człowieka nie mógł zrobić. A Stasiak umie tyle, żeby gniazdko czy żelazko naprawić. Prawda, on

boży przekaznik

STEFANIA HENCZELOWA

przeważnie przy magnetofonie chodził, ale każdy mógł włączyć i wyłączyć, nikt nie bronil.

Pękaty proboszcz łysowski przyjmuje mnie, przed progiem. Widać — dzisiejszy człowiek, bo do szelki od spodni przy-

rozdzygotani. Przelęknione dziewczyny Baldygów przyszyły do mnie, a na drugi dzień przyleciała Szablakowa: „Duch nam powiedział, że Baldygi na nas naskarzyły, choć Głos zabronił, tak jak zabronił donieść milicji”. Też mi duch, co się boi milicji. Babę żrugalem; w ogóle nie chciałem z nią rozmawiać. Mówię, że ona się zapisała do jehowitów, bo była łakoma na pieniądze, a teraz ją szantażują. Już tam dwa stogi spłonęły. Może to oni duchy przez aparat radionadawczy robią?

Kiedy Stanisław Szablak odzwiera mi taśmę, z której miał zwyczaj rozlegać się Głos, zauważam, że pomiędzy nagrałymi melodiami są spore przerwy (zwróciła na to głośno uwagę ośmioletnia Grażynka, najmłodsza latorośl Szablaków, podczas mojej pierwszej rozmowy z ojcem). Stanisław zapewnia je własnymi słowami; najbardziej emocjonuje go reakcja różnych osób na „pojawienie się” ducha.

— Jeden człowiek u Szoków i sąsiadka nie uwierzyli; mówili, że może palcami poruszamy. Daliśmy im, żeby sami spróbowali. No i się skrecila! Jak się książeczka skrecila, to on takiego strachu dostał, że nie chciał iść sam do domu! A kiedy wchodził Głos na taśmę, to ja wcale nie musiałem przy tym być. Czasem kazał włączyć wtyczkę do zepsutego gniazdka i mówił, że sam się obsłuży. Wtedy lampka się zapalała i magnetofon ruszał, choć w całym domu nie było prądu. A po drugie: gdzie by człowiek taki wydechowy głos-nie-głos, dźwięk-nie-dźwięk zagrobowy nagrał, który niósł się aż na podwórze i na pole? Jak on wchodził na taśmę, to piosek nie było słychać, a kiedy znikł, wszystkie wracały. Ja sam myślałem, że może kto Głos nagrał, ale gdzie tam; przecież tych piosenek nie da się odtworzyć, bo i skąd, na dodatek — w tej samej kolejności. Gdyby pani ten Głos słyszała, sama by uwierzyła, że nagranie go przez człowieka nie jest możliwe. Szwagier dziesięć minut stał blisko magnetofonu, to od tego zagrobowego powietrza słabo mu się zrobiło.

— Tak, pani, i powietrze, i głos z tamtego świata — przekonuje matka. — Inse niż nase. Ja zidziała dziś Kardynała na filmie w kościele, o przybyciu Ojca świętego do Polski. On trochę mógł; też tak wolno i spokojnie, ale cysto. Z taśmy czasem ciężko go zrozumieć. Pierw jest taki dźwięk, jakby się płyta grobowca odsuwała, potem trzaski, a wreszcie Głos, no, może pani, proszę zagrobowy.

— Ukończył pan — zwracam się do Stanisława — budowlankę i dwa lata przebywał w Ochotniczym Hufcu Pracy; na pewno zdobył pan podstawy elektryczności i elektroniki. Umówmy się, że chciałby pan zabawić się kosztem rodziców i sąsiadów: jak można zrobić takiego gadającego ducha?

— Co też pani mówi? Ja bym tego nie umiał. A i skąd wziąłbym taki nieziemski głos?

— To nie trudnego. Wystarczy chusteczka, słoik, miska albo wanna; na wyższym poziomie — głośnik radiowy lub telewizyjny, które znacznie głos zniekształcają. Zaś do oddzielnego nagrania dźwięków równoległych potrzebne są tylko dwa magnetofony, chyba że nie zostały one zarejestrowane w całości; „Gorzkie żalów” nie można było wyciszyć, ale dialog filmowy — na pewno. I nie ma w tym żadnego „cudu”.

— Ja tego nie zrobiłem. A zresztą co mogłem uczynić, żeby tak niosło ten głos?

No, właśnie: jaką sztuczkę w tym przypadku mógłby zastosować? Wśród wielu możliwości trzeba było znaleźć tę właściwą, z której ewentualnie skorzystał Stanisław. Mimo więc zakłopotania matki, która starała się mnie od grzesznej docieklowości odwieść, bowiem za podejrzania i niewiarę Głos straszył niepowodzeniami w gospodarce i pogorszeniem zdrowia Tadeusza, postanowiłam potwierdzić lub wyeliminować udział Stanisława we wchodzeniu Głosu na taśmę. Swoje ostatnie wejście duch zapowiedział na dzień powrotu Tadeusza ze szpitala, aby go „usprawiedliwić” i pouczyć na przyszłość; dzień taki miał przypaść na 6 czerwca br. Zapowiedziałam również swoją wizytę, aby wysłuchać choć raz „dobrych słów z przekaznika Bożego”. (Cdn)

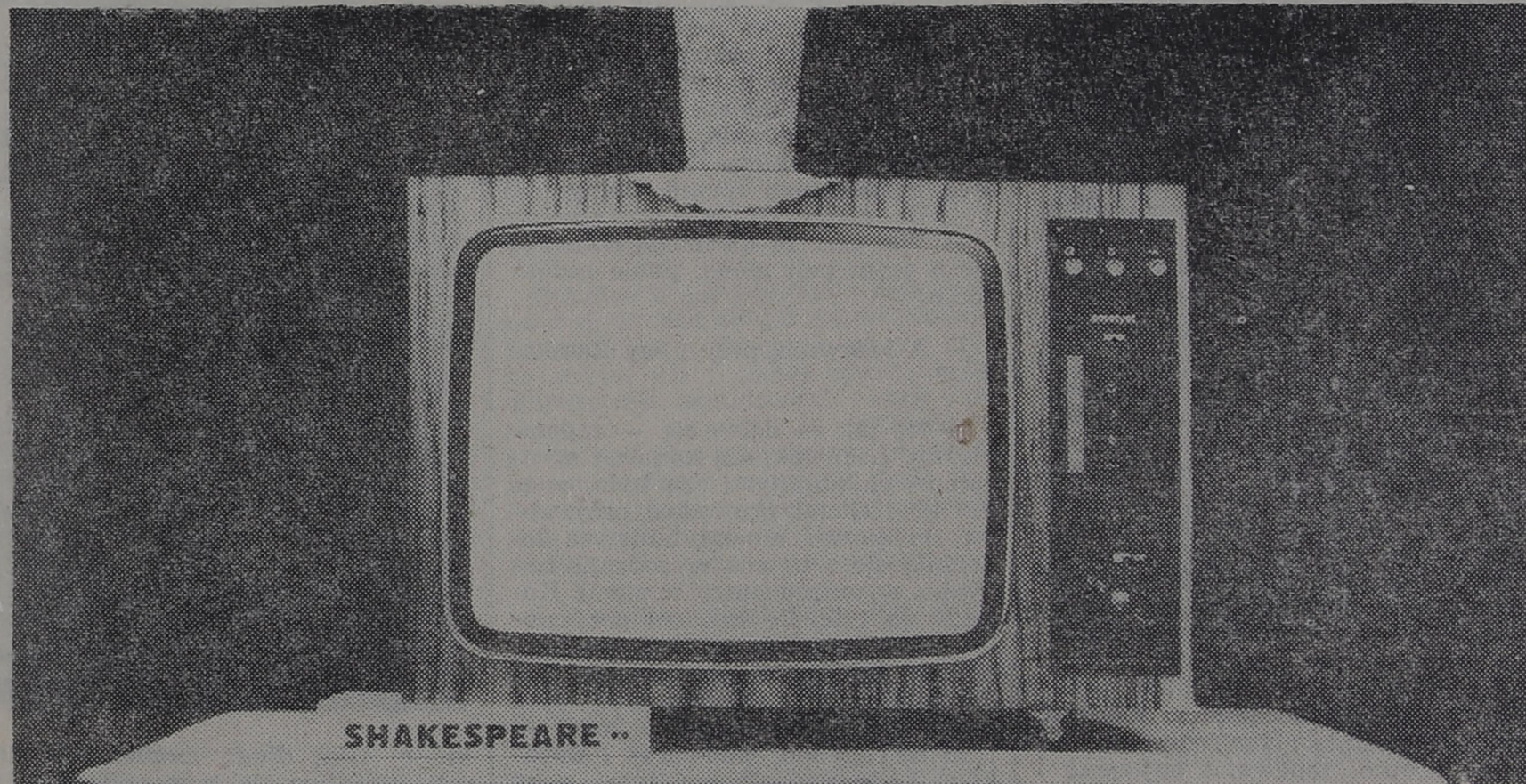
Fot. Józef Liebersbach

Przepytywane o „cud” eksperymentki domu handlowego w Łysych reagowały najróżniej. Jedna zarumieniała się z zakłopotania, jakby sama była wszystkiemu winna, i gorączkowo powtarzała: „Tam nie ma, nie trzeba jechać”. Druga zbyła mnie zdaniem: „Nie będę o tym rozmawiać!” Trzy inne, cierpliwie nagabywane, kapnęły nieco wieści gminnych i własnych domysłów. Według nich — rodzina Szablaków jest, owszem, nawiedzona, tyle że nie przez ducha, ale chorobę psychiczną. Dziedziczy ją ponoć po dziadku. Kliniczne jej objawy uwiłdoczyły się na razie u dwójki młodych Szablaków, przebywającej w szpitalach.

Więcej wiary w możliwości współdziałania ducha z techniką zaprezentowała właścicielka zagrody pod lasem, gdzie zapadłam się w poszukiwaniu domu Szoków: — Ja tam nie była, bo mnie nie wołali, ale podobnie Głos miał przepowiedzieć wszystko do końca stulecia. Poziedział nawet, co się ten niespokój w Polsce skończy, jaz w osiemdziesiątym piątym. A co, nie może pani dojechać do Sioków! No, chyba tam wam jechać nie trzeba, bo może On nie chce, żeby obce ludzie o Niem ziedzieli?

Rzeczywiście coś nosiło mnie wtedy po bezdrożach i na poszukiwaniach zeszło mi wiele czasu, ale w końcu dom na kolonii znalazłam, tyle że niepotrzebnie, bo zastałam tylko starą Szokową, która wykreśliła się od rozmowy na temat „cudu”: — Nic nie wiem. Jedźcie do Szablaków, tam się dowiedziecie.

Inni mieszkańcy Lipników także nie mogli moich wątpliwości rozjaśnić, bowiem Głos nigdy ich nie przywołał do magnetofonu, nigdy nie chciał upomnieć czy pou-



czyć. Przy czym nie bardzo wiedzieli, czy to źle, czy dobrze, bowiem niczego nie mogli orzec o naturze (niebiańskiej lub piekielnej) gadającego ducha.

— Głos nie wszystkich spraszał, nie! Byli prawie tylko rodzice tych, co klucem i książką kręcili. Chyba bez to mieli do nauk prawo? — upewnia się Marianna Szablakowa.

— Nie wiem, jaką zasadą doboru słuchających kierował się duch, lecz na pani miejscu zastanowiłabym się nad faktem zwalniania samej rodziny i tylko najbliższych sąsiadów — próbuję zasiać ziarno wątpliwości w sercu gospodyni.

— No, jak to? Przecie Baldygi so dalse... Byliby i inni, ale ani zdradzili, choć przysięgali. I tak Głos poziedział, że te nas 15 trza pomnożyć bez 15; tyle ludzi teraz uwierzyło podobno. A ile by sie przekonało do września?

— Nie rozumiem, po co mu było wchodzić na taśmę, skoro mógłby przemówić, dajmy na to, ze ściany lub z obrazu?

— E, on za dobry na to. Mózil, co wszystko mógłby: i ze ściany gadać, i pokazać się w postaci, ale nas załuje, bo my by tego ze strachu nie przeżyli.

— A do mnie w pokoju przemówił ze ściany — chwali się Stanisław — ale zakazał powtarzać, rozumie pani...

— Tak — podchwytuje wątek matka — nie wolno od chłopaka wyciągać, cego nie może poziedzieć; jego rzec. Ducha nie trza gniewać, bo wiadomo to, co może zrobić?

— Może znowu wejść na taśmę —

liwości o kontakty z diabłem i jest prześladowana przez otoczenie, a gdzieś tam Bogu ducha winne dziewczęta popadają w manie prześladowcze (jeśli i te scenki nie zostały zaaranżowane). Otóż chcę was spytać, czy nie wzięliście ani przez moment pod uwagę ewentualności, że ktoś wam ten Głos robi i śmieje się w kulał z waszej naiwności, i w ogóle z komizmu sytuacji ludzi kłęczących przed magnetofonem?

— Owszem, ja najpierw pytałam Staszka — przyznaje się Teresa — czy to nie on nagrywa, ale gdy zaprzeczył, już nie miałam wątpliwości, że to naprawdę duch.

— Gdzie tam, pani! — zaperza się Stanisław. — Kto by tak Pismo Święte znał, kto by z ludzi takie mądre i piękne nauki układał? Takich nawet ksiądz nie ułoży!

— Nam nie wolno nawet tak myśleć — tłumaczy z troską matka — Poziedziane było: „Zierzcie, może do was z polecenia i przyzwolenia Chrystusa”. Jako to możemy wątpić? Pani, Głos był, choć w sieci prądu nie było; taśma na starych środkach sła. I lampka sie paliła bez prądu. Juz mnie nikt nie przekonał! Zeby sie tylko pani niewiarstwo przeciw Tadziovi nie obróciło...

— Jak był tu ten franciszkanin — wspiera argumentacją żonę gospodarz — który wszystko zapisywał i bardzo chciał Głos usłyszeć, to aż zanocował u nas z tej ciekawości. Pojechał o dziesiątej rano, a sześć minut po północy były do niego słowa: „Szkoda, synu — tu imię i naz-

piał torebkę zapachową „Zielone jabłuszko”. Wolałby inny temat, na który co i rusz mnie nawraca, lecz ja upieram się przy „cudzie”, za co zostaje surowo skarcona.

— Niech pani nie nazywa tego „cudem”. Ot, podobno od stycznia młodzi wywoływali tam duchy. Co mówi na ten temat nauka Kościoła: ona zabrania takich praktyk. Ci, którzy w seansach uczestniczą, tracą wolę, dostają rozstroju nerwowego i stają się nie poczytali. Często kończy się to orgiami, ale też szpitalem dla wariatów. Jest możliwość wywołania ducha, ale nigdy nie przyjdzie duch dobry, tylko zły. Kiedyś, przed wojną, wywołali ducha Piłsudskiego. Powiedział tylko tyle: „Saw an mars, saw an mars”. Po łacinie, myślę, chyba. Aż jeden Zydek wpadł na pomysł przeczytania tego od końca. „Tfu — powiedział — tfu, paskudnik.” Wy piszcie lepiej o tym, że człowiek ciągle potrzebuje ładunków ujemnych, a nie wie, że szkło, nikiel czy gąbka mają znaki dodatnie. Pani na pewno śpi na tapczanie. Dlaczego? Bo wygląda jak półdupek-półtrupek. Wstaje pani bardziej zmęczona, niż się kładzie, a budzi się na dobre dopiero koło południa...

Wywód księdza Pogorzelskiego jest niezwykle atrakcyjny (dotyczył m.in. leczenia impotencji pokrzywaj), lecz muszę do końca poznać jego stanowisko w kwestii Głosu.

— Trudno powiedzieć, czy w tym przypadku występuje działanie złego ducha, czy też jest to zwykłe oszukiwanie. Szczura łatwo wpuścić do chalupy, trudniej go wygonić. Tam podobno wszyscy są

obyczaje



Uratowały się tylko ułamki rzeczy i strzępki historii. Została także ludzka pamięć. Chcę jej posłuchać. Nie dla uroków wspomnienia, ale po to, aby poszukać czegoś dla siebie, dla obecnego życia.

Jerzy Moraczewski dopiero od dziesięciu lat pracuje w nowogrodzkim skansenie, od kilku jest jego kierownikiem, ale całe życie spędził w jego pobliżu. Już wtedy, kiedy miał pięć lat a idea Adama Chętnika, oceniona jako „wariactwo i maniactwo” (nie tylko przez miejscowych, ale i ludzi ze świata, w tym niekiedy wykształconych) przybrała

odbywały się w czwartki albo aż do Sokółki, po nierogaciznę do Sniadowa, w środy. Chłopi przywozili wszystko, co wyprodukowali i sprzedawali, a za uzyskane pieniądze kupowali to, czego było im potrzeba.

Prawie czterdzieści procent mieszkańców Nowogrodu, to byli Żydzi. Jeden tylko miał kawałek ziemi, którą zresztą uprawiał niezbyt starannie, bo zajmował się czym innym. Żydzi to sklepikarze, handlarze i rzemieślnicy. Lekarzem był także Żyd; nazywał się Glick, a aptekarz — Szapiro. Inni mieli sklepy spożywcze, lokciowe albo blawatne, czyli

Wychodzimy z drewnianego dworku, bo zjawiała się wycieczka szkolna i mimo uciszenia przez nauczycieli rozbrzęczało się młodymi głosami wewnątrz starego domu. Dla tych nastolatów miejsce, w którym się znaleźli, ten dom, chaty, cały skansen jest od dawna, prawie zawsze. Nawet jeśli dowiedzą się, że to 55 lat temu pan, który nazywał się Adam Chętnik, a którego dziwny pomnik z czarnego dębu stoi nie opodal, przywiózł tu i ustawił pierwsze zabytkowe chaty, i tak to miejsce będzie dla nich od zawsze. Nie potrafią sobie wyobrazić, że 40 lat temu nie było tutaj nic.

— Czy tu po wojnie cokolwiek ocalało? — pytam zatrzymując się obok rzeźby z czarnego dębu.

— Kilka pni bartnych, trochę kamieni.

— Myślę o Nowogrodzie.

— Też prawie nic. Fundamenty i piwnice domów, mury kościoła i... żydowska szkoła. To dziwne, ale budynki, choć dzisiaj służą czemu innemu, zachował się w niezmienionej formie.

— Pewnie nie uświadomił Pan sobie, że wymienia Pan ślady symboliczne.

— Ma pan rację — zamyśla się pan Moraczewski.

— Uchował się, podobnie symboliczny, ślad rzemiosła — mówię.

Idziemy do starej części skansenu. Mój przewodnik coś poprawia czy ogląda przy wiklinowym płocie. Mam dla niego niespodziankę. Będąc poprzednio w Nowogrodzie zaciekawilem się, dlaczego w pewnym miejscu, niedaleko od skansenu, jest wyrażna wyrwa w zabudowie ulicy. Zapytana o to kobieta wyjaśniła, że tam budować szkoda, bo to lodownia Moraczewskiego Mariana, mistrza rzeźnickiego sprzed wojny.

— Wie pan, że nie mogę domyślić się o czym pan mówi, panie redaktorze.

— A lodownia, przy ulicy Zamkowej?

— No tak — dziwi się — zapomniałem. Lodówek, ani komór z agregatami chłodniczymi nie było, więc jak ktoś chciał prowadzić przyzwoite rzeźnictwo musiał budować lodownię. Jest to coś w rodzaju budynku wymurowanego w ziemi. Kosztowało tyle, ile całkiem przyzwoita obora czy stajnia. Zimą magazynowało się tam wycięty z rzeki lód. Pamiętam, że pracowało przy tym przez tydzień kilkunastu ludzi — tych co cieli lód, ładowaczy i wozaków. Lodu musiało być tyle, żeby wystarczyło do następnych mrozów. Do lodowni zносиło się świeżo ubite sztuki, żeby steżały, przechowywało się mięso do sprzedania, na przetwory i gotowe wyroby. Mięso układało się na czystym płótnie rozłożonym wprost na lodzie, inne rzeczy na betonowych ławach obiegających lodownię. W miarę upływu czasu lód topniał, leżał coraz cieńszą warstwą, aż zimą czyściło się lodownię i przywoziło nowy lód.

— A jak kogoś nie było stać na takie urządzenie?

— To musiał być tylko tyle, ile następnego dnia mógł sprzedać. U ojca było się tygodniowo do sześciu tuczników i trzy duże cielaki. Tuczniaki musiały być słoninowe, nie to co dzisiaj, kiedy każdy chce tylko mięso. Wtedy najważniejszy był tłuszczyk. Było kilka przypadków bicia sztuk po 450 kilo. Pamiętam jak dziś mierzanie słoniny na rozwartą męską dłoń i dwa palce — miała więcej niż ćwierć metra grubości. Za to kielbasa, taka najzwyczajniejsza, musiała być tak dobrze zrobiona, żeby wytrzymała tydzień w wiejskich sklepikach, do których rozwoziliśmy ją specjalnym, obitym blachą konnym wozem. A przecież na Kurpiach nawet piwnic często nie było. W ostatnich latach przed wojną tak się ojcu ułożyły interesy, że właśnie w miesiącach wakacyjnych miał największe obroty w zakładzie. Udało mu się zostać dostawcą młodzieżowych obozów, które w lesie koło Morgownik organizowały Państwowe Zakłady Lotnicze z Warszawy. Trzeba było bardzo dbać o jakość, a szczególnie o higienę. War-

sztat badany był przez lekarską komisję sanitarną z Łomży.

Sprawdzono każdy sprzęt, narzędzie, nawet szpary w stołach i stolicach, nie mówiąc o mięsie i wyrobach. Żadne uchybienie nie uszło ich uwadze, a jeśli idzie o dostawy dla obozu junackiego, do były badane codziennie. Dlatego ważne było to, kto pracował w zakładzie, jakich pracowników miał majster. Ponościł przecież wszystkie konsekwencje złej roboty. Podstawą warsztatu byli czeladnicy. Wykonywali najważniejsze prace, mieli bezpośredni kontakt z uczniami i nadzór nad nimi. Oni pilnowali porządku w zakładzie i mienia właściciela. Nic dziwnego, że oprócz zapłaty umówionej z majstrem i gratyfikacji z okazji udanych transakcji, przyspieszenia pracy itp. tradycyjnie należała do nich szczecina. To był bardzo potrzebny surowiec. Teraz są sztuczne tworzywa, ale wtedy? Pędzle, szczotki, miotły, najlepsze materiały, wyściółka tapicerska w samolotach i luksusowych samochodach — to wszystko było ze szczeciny. Najcenniejsza była długa, pochodząca ze świń odpowiedniego, hodowanego wtedy gatunku. Tej się jednak nie ścinało, nie skrobało, lecz wyrывało. W rdzeń niegrubego pałeczka wbijało się gwoździem, na niego nawijało kilka włosów takiej długiej szczeci i wyrывało tuż po uбиciu tuczniaka. Kamasznicy i szewcy,



materialny kształt pierwszego w Polsce muzeum na otwartym powietrzu. Ale skansen, użytkowany przez towarzystwo krajoznawcze przyciągał szansą zobaczenia ludzi przybyłych z daleka. Dziwne było tylko, że sprowadzało ich tutaj to, czego miejscowi chcieli się pozbyć, zamienić na inne, a często, nawet się wstydzili — stare wiejskie chałupy, kieraty, żarna, masielnice i inne sprzęty towarzyszące wiejskiej codzienności.

— Proszę pana, jacy oni wszyscy wydawali nam się dziwni, a pan Chętnik najbardziej. Zamiast przetrząsnąć pieniądze, które zarabiał na coś, co by zapewniło byt, topił je w tych gratach. Takie były, w owych latach, opinie o tym, co później stało się i jest nadal powodem naszej dumy i wyróżnikiem Nowogrodu. Pani Zofia Chętnikowa była osobą oddaną idei skansenu nie mniej niż jej mąż. Wykonywała większość prac dokumentacyjnych — tej żmudnej i trudnej dłubaniny, bez której nie ma żadnego muzeum, zbiorów czy najzwyczajniejszej kolekcji. Chyba w 1937 roku dokonano wyceny zbiorów w skansenie. Szacowano je na 30-35 tysięcy złotych. Majątek!

Ojciec Chętnika był stolarzem, cieslą, snycerzem a nawet lutnikiem. Adam, poza tym że uczył się w Łomży, pomagał ojcu w warsztacie i gdyby nie zajął się etnografią, ze stolarstwa też by wyżył.

— Podobnie jak i pan — ma pan dobry zawód. Rzeźnik to zawsze, a dziś szczególnie, dobry fach. Może warto by pomyśleć o powrocie do tego zajęcia?

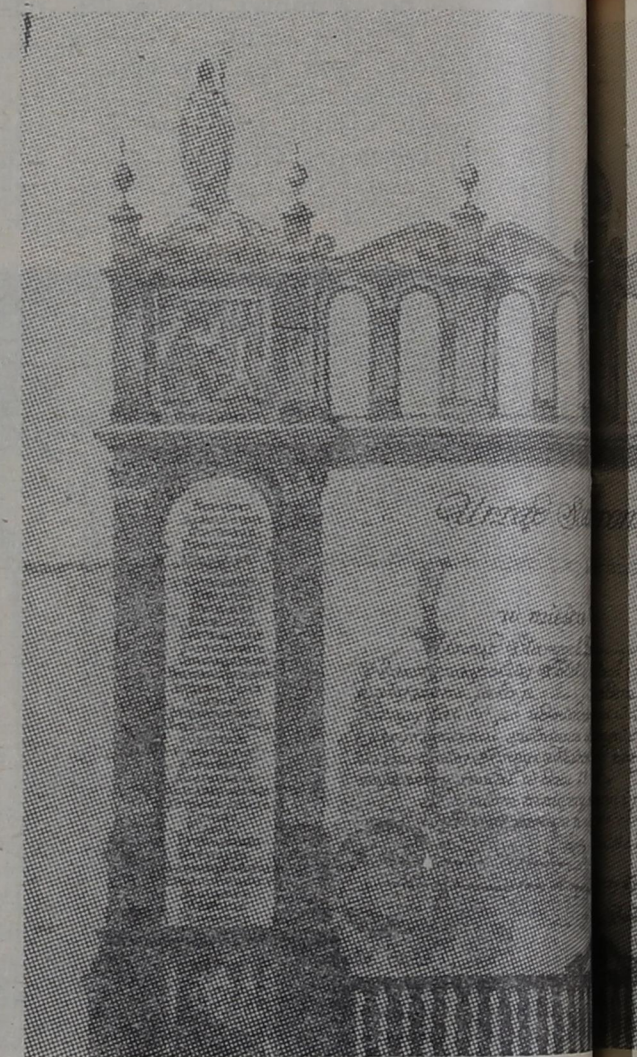
Pan Jerzy wzrusza ramionami i mówi, że właśnie szykuje się na wcześniejszą emeryturę.

— Dawniej Nowogród, chociaż był w połowie miejscowością rolniczą, żył handlem i rzemiosłem. Co wtorek — jarmark, w piątki — zwykłe małe targi; ot taki detal; masło, ser, śmietana, jagody, grzyby, drewno na opał. Na jarmarkach było to samo, nikt nie chciał tracić okazji do najmniejszego zarobku, ale handlowano przede wszystkim zwierzętami rzeźnymi. Tu, w Nowogrodzie, świniami i bydłem. Po dobrego, konia jechało się do Kolna, gdzie jarmarki

włókiennicze i tekstylne, żelazne, i jatki wołowe, i baranie z koszernym mięsem dla Izraelitów, a z trefnym i niekoszernym dla Polaków. Jako syn rzeźnika oglądałem rytualny ubój. Wiele siły i wprawy musiał mieć hazan, jak u nas nazywano rzeźnika, aby dwoma cięciami rytualnego noża odciąć łeb zwierzęciu. Potem sprawdził jeszcze jamę płucną, czy nie ma tam uszkodzeń lub zrostów i dopiero wtedy przód takiej sztuki mógł iść na żydowski stół. Po latach praktyki rzeźniczej doceniłem mądrość uboju i badania rytualnego, bo, mówiąc krótko, zapewniał najlepsze i najzdrowsze mięso.

— Mistrzowski dyplom pańskiego ojca zawiera spis wszystkich zawodów i specjalności rzemieślniczych. Jest ich chyba z siedemdziesiąt. Ile z tego było w Nowogrodzie?

— Nie było tylko nożownika, rusznikarza, iglarza, grawera, złotnika i chyba zegarmistrza, może jeszcze jednego czy dwóch rodzajów rzemiosła. I wszyscy mieli pracę, a nikt się nie lenił. Nie mógł — nie pozwalała na to konkurencja. Miejscowa i przyjezdna. Jarmarki otwierały miasto dla każdego, kto zapłacił kopytkowe przy wjeździe i placowe na targowisku lub rynku. Jarmarki były tutaj, gdzie stoimy, na Wzgórzu Ziemiowita, bo skansen, o wiele mniejszy, był tam dalej, na uboczu, za miastem. Most przez Narew był po drugiej stronie miasta. I w tamtej stronie był także dworzec kolejowy. Miasto było inaczej zorganizowane, inna była w nim cyrkulacja ludzi, wozów, zwierząt. Ulice wąskie, co zresztą widać i dzisiaj, ale stały przy nich ciasno utkane szczytami domy. Działki były drogie. Szczególnie przy rynku i wzdłuż ulic prowadzących do niego. Podobnie, przy ulicach idących do Wzgórza Ziemiowita. Z tego powodu wielu mieszkańców miało domy w jednym miejscu, w innym budynki gospodarcze — oborę i chlew, a jeszcze gdzieś indziej stodołę. Zapewne z tego powodu i aby ułatwić sobie orientację ponazywano różne części Nowogrodu: Nowowioki, Folwark, Piasutno, Podgórze i Wiatraki. Pięć dzielnic! — śmieje się pan Moraczewski.



k którzy taką długą szczecinę wkreślali w dratwę dla wzmocnienia, płacili 1 grosz za sztukę. W ciągu roku, pilny i pracowity czeladnik, mógł z samej szczeciny uskładać na rower i garnitur. W dzisiejszych cenach wypadło by prawie dwadzieścia tysięcy. A przecież i rowery, i ubrania były wtedy, w stosunku do zarobków, o wiele droższe niż dzisiaj.

— Może nie dzisiaj a wczoraj, bo nie wiadomo właściwie, ile teraz kosztuje rower, ale to nie istotne, porównajmy to, co można porównać. Ile zarabiał pański ojciec?

— Tego nie wiem i trudno byłoby to wtedy policzyć. Czy jak dał uczniowi kieszonkowego na tydzień 7 zamiast 5 złotych, jak to było przyjęte w pierwszym roku terminu, to czy wliczał te złotówki do dochodu czy do kosztów? Ale na przykład kilogram żywego wieprzowego kosztował 90 groszy do 1 złotego, za kielbasę zwyczajną brało się od 1,70 do 1,90, za szynkę, poledwicę, czyli tzw. rozmaitości — 2 złote, podobnie kosztowała kielbasa krakowska czy myśliwska; za metr żyta trzeba było zapłacić około 12 złotych, bułka masłana kosztowała 5 groszy a cukierek „pszczołka” — 1 grosz. Dniówka robotnika niewykwalifikowanego wynosiła 2 złote, a w 1938 roku nawet 3. Bilet kolejowy z Nowogrodu do Łomży — 95 groszy; jechało się godzinę, a za krótszą o kwadrans podróż autobusem prywatnej linii trzeba było zapłacić złotówkę. To tylko niektóre ceny. Wyglądają jakby były stałe, ale wtedy one się zmieniały. Liczył się każdy grosz, bo dochód powstawał z obrotu. Handlarz, masarz i sklepikarz musieli wyżyć z 30 proc. zysku ceny surowca. Kto tylko



mógł, obniżał cenę, żeby być konkurencyjnym dla innych. Starostwo w Łomży ustalało ceny maksymalne i minimalne, ale Nowogród, będący miastem, miał własną Komisję Cennikową, która reagowała na cennik łomżyński minimalną zniżką, dzięki czemu zakupy u nas dla wszystkich, którzy przyjeżdżali zaopatrywać się, zarówno detalicznie jak i hurtowo, były opłacalne, przyciągały sprzedających i kupujących.

— Był ruch w interesie, czyli rotacja obrotów, a z nich dochód. Jedno tylko wydaje mi się w tym niepokojące — przecież każdy chciał sprzedać drogo, a kupić tanio, zarobić więcej, a mniej wydać, co więc było regulatorem w tej walce o byt?

— Państwo, czyli magistrat i indywidualna kalkulacja. Władze miejskie (na stałe trzy osoby — burmistrz, sekretarz i woźny oraz pewna liczba dzierżawiących ryczałtowo takie funkcje, jak inkasenci, wagi, placowi) i posterunek policji (dwóch funkcjonariuszy) miały za zadanie pilnować, aby obywatele mieli możliwość żyć świadcząc na państwo, zaś kalkulacja zapewniała zarobek. Było z tym czasem trochę kłopotu. Kiedy na apel „narodówki” zaczął się bojkot żydowskiego handlu, powstały spółdzielcze sklepy gdzie wprowadzono ceny stałe. Ludzie podejrzewali w tym szwindel, a że były to jednocześnie ceny niższe

jedną melodię, wiele razy, na każdej zabawie... Ale jaka to była melodia, nie pamiętam. Kiedy zdarzy mi się pomyśleć o tym, chcę ją sobie przypomnieć i nie mogę. Czasem przypominam mi się jakiś tytuł i myślę, że to była ta melodia, ale zaraz okazuje się, że nie ta.

A potem przyszedł wrzesień, i wojna. Po wojnie musieliśmy zacząć wszystko od nowa. Próbowało się wrócić do dawnych sposobów życia, ale to było niemożliwe. Jedno, co przetrwało wojnę, to ludzie. Nie wielu, ale byli. Sami Polacy, z Żydów nikt nie ocalał... Poza tym nie było nic, ani domów, ani dróg, nawet mostu przez rzekę. Nie było starego Nowogrodu, a jaki będzie ten nowy — nikt sobie nie wyobrażał. Trzeba było po prostu żyć. Na początku lat pięćdziesiątych założyłem rodzinę i nawet miałem propozycję zostania kierownikiem masarni w Zambrowie, kiedy organizowano tam powiat, ale zostałem. Poszedłem do pracy na kolei. — Widząc moje zdumienie, pan Jerzy wyjaśnia z uśmiechem: — Była przecież czynna stara wąskotorowa kolej Łomża — Myszyniec. Kilkanaście lat przepracowałem przy ciuchci, prawie do samego końca, bo zlikwidowano ją w 1973 roku, a ja od 72 przyszedłem do skansenu.

Do dworku wracamy naokoło, „przez miasto”, jak bezwiednie, z dawnego przyzwyczajenia mówi pan Moraczewski. Idziemy tak, aby wstąpić do domu po kilka rodzinnych dokumentów. Sądziłem, że będą to jakieś potwierdzenia szlachectwa, legitymacje odznaczeń, zdjęcia z ważnymi ludźmi, ale myliłem się — są to trzy świadectwa.

— Proszę zobaczyć — mówi pan Jerzy — to były dokumenty! — i rozkłada na stole w biurowym, skansenowym kantorku mistrzowski dyplom swego ojca. — A tak wyglądała książeczka czeladnicza, w dwóch językach, bo z 1915 roku. A ta szkolna cenzurka — to mój dokument czeladniczy z 1948 r. Już po tych papierach widać, co warte było, a co jest, rzemiosło dzisiaj.

Rozumiem już, dlaczego pan Moraczewski chce odejść na wcześniejszą emeryturę. Zmęczyła go nie tylko praca, ale i ciągłe zmiany. To obiektywne okoliczności, czyli po prostu los, sprawiał, że odchodził z pracy pod jego przymusem: dlatego, że likwidowano rzemiosło, linię kolejową i chyba dlatego, tym razem, woli odejść sam. Pytam, czy po dziadku nie został jakiś dokument.

— Dziadek zjawił się w Nowogrodzie przejazdem. Pracował jako felczer weterynarii w majątku w Słuczu koło Grajewa. Zatrzymał się tu w podróży, do Makowa bodajże, i wstąpił do kościoła, na niedzielną mszę. Podczas nabożeństwa usłyszał śpiewającą na chórze dziewczynę. Jej głos tak mu się spodobał, że po wyjściu z kościoła dowiedział się, kim jest śpiewaczka i... no, po jakimś czasie ożenił się z nią i osiadł w Nowogrodzie.

— Kiedy to było?

— Nie tak dawno, ze sto, a może tylko dziewięćdziesiąt lat temu, dokładnie nie wiem. Był sierotą po uczestniku Powstania Styczniowego, kształcił go stryj, który był księdzem w Krakowskim. Kiedy osiedlił się w Nowogrodzie, nadal, i z powodzeniem, leczył zwierzęta. A jeśli idzie o Powstanie Styczniowe, to mieszkał w Nowogrodzie starzec, który w tym powstaniu brał udział. Nazywał się Wawer Wandali. Pamiętam, że cały czas chodził w mundurze. W 1938 roku wyjechał do Warszawy. Kilka lat temu byłem na Cmentarzu Powązkowskim i znalazłem jego grób. Zmarł w 1940 roku. To jest ostatni grób w kwaterze powstańców 63 roku.

— Po wojnie, przez kilka lat odbudowywał się Nowogród i ostatecznie odbudował — dokonali tego jego dawni mieszkańcy i ci, co przez wojenne lata dorosli, jak choćby Pan. To jednak nie przywróciło miasteczku jego dawnych funkcji. Cemu nie ma już jarmarków, jakie odbywały się na przykład w Zambrowie, albo targów — chociażby, jak w Jedwabnem.

— Próbowano wrócić do przedwojennych tradycji. Zaraz po wojnie, dawne przyzwyczajenia kierowały chłopów z Puszczy i z polnych oko-

lic, na lewym brzegu Narwi, do Nowogrodu. Ale jednych zatrzymywała rzeka, nie było mostu a prom, to było tak coś niepewnego, że nie tylko ludzie, ale nawet zwierzęta nie chciały na to włączyć. Drudzy zaczęli nawet przywozić płody rolne, żywiec, ale cóż, kiedy — jeśli je nawet korzystnie sprzedali — za otrzymane pieniądze nie mieli co kupić. W Nowogrodzie nie było handlu. Więc jedni i drudzy wybierali Ostrolękę albo Łomżę.

Potem, po Październiku w 56 roku, też się ruszyło. Jakies próby zakładania warsztatów rzemieślniczych, cegielni prywatnych i spółdzielczych. Nawet Gminne Spółdzielnie zaczęły na jakiś czas, przypominać spółdzielnię, jak to ludzie pamiętali z „Jedności”, „Społem” czy „Zgody”. Tylko że to wszystko było jakiś czas. Żadnej pewności, że z tego będzie można żyć. I powoli ludzie przywykli do tego, że mięso i wędliny wozi



się z Łomży, że tu, na miejscu kupić można tylko rzeczy niezbędne, a na zakupy i tak trzeba jechać do Łomży, Białegostoku albo Warszawy.

Wie pan, myślę, że tamto, to już historia. Nie dlatego, że minął czas, ale dlatego, że zmienili się ludzie. Naprawdę, i takie życie, taki handel, takie zabawy, przedstawienia teatralne w remizie Straży Pożarnej, takie wojsko i taka Polska — już nigdy nie wróci. Nawet, jakby z grobów wstali ci, co żyli wtedy — też nie, bo historia się nie powtarza. To tylko ludziom tak się zdaje. A to są tylko podobne historyjki i zdarzenia.

— No dobrze panie Moraczewski, ale ten czas, czy jak pan woli — historia, nie mija ot tak sobie, bez udziału ludzi. A życie to nie tylko zmienne szczęście w interesach, mniej lub bardziej utalentowane dzieci, ale to również wojna, powstania, partyzantka. Pan jest w najprostszej linii spadkobiercą takich właśnie wydarzeń, prawnikiem Powstania Styczniowego.

— Racja, ale ja wolę, żeby moja rodzinna historia to było życie Nowogrodu. W tym się możemy zrozumieć. Nie tylko z panem, ale z tymi co będą to czytać. A ta druga strona?... Każdy ma swoją wojnę i swoją partyzantkę. Każda rodzina. Choć i to nie jest takie pewne. A trudniej się zrozumieć w takiej historii, kiedy jest jeszcze świeża. Wdzi pan, ja tak naprawdę pewien jestem tylko tego, że ostatnim grobem Powstania Styczniowego jest na warszawskich Powązkach mogiła Wawra Wandalego. To, przed wojną, był najbardziej znany człowiek w Nowogrodzie.

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



9
KONTAKTY
20 VI 1982

Nieznani sprawcy włamali się do jednego z zakładów szewskich w Łomży, zabierając za fatygę siedem par butów. Jeśli „pójdą” po niższej — od umowno-żłodzijskiej — cenie: rozgrzeszymy.

☆

Od dłuższego czasu imponuje nam Autor o pseudo „lat” pisujący w „Gazecie Współczesnej” futurologiczno-fantastyczne powiastki z Kołaków Kościelnych, które wkrótce — jak iks razy do kwadratu informuje — wyżywią całą Polskę. Dręczy nas tylko jedno pytanie: czy w Kołakach „wzrośnie”, „wprowadzi się dodatkowo”, „nastąpi dalszy rozwój” na tyle, że gdy zbudujemy Drugą — to też starczy dla każdego.

☆

Wypożyczalnia kajaków w Łomży czynna jest codziennie w godzinach 8—20, oprócz wolnych sobót i niedziel. Aby choć dwa razy w miesiącu wykorzystać w pełni cały tydzień, proponujemy, by pracownikom ośrodka w te właśnie dni wypłacać zaliczkę i uposażenie.

☆

Łomżyńskie krowy wykazują wyjątkowy talent cywilizacyjny. Obserwacje prowadzone przez kierowców korzystających z ulicy Zjazd i szosy do Piątnicy wykazują, że przeciętna łaciata już po półrocznym wypędzeniu na łąki i pulwy wraca do domu korzystając z chodnika. Gorzej z pastuchami. Wszyscy chodzą jezdnią. Raz, co prawda, zaobserwowano na chodniku, ale po chwili okazało się, że był to wynik zatoczenia.

☆

Pracujący w czynnie społecznym członkowie koła ZMW w Dębowie znaleźli doskonale zachowany pocisk armatni. O fackie tym natychmiast zawiadomili najbliższy posterunek MO. Można więc powiedzieć, że w Dębowie nikt nie czekał na wiosnę...

☆

Z Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu jakiś desperat skradł eksponat — wiekową piłę tarczową. Tymczasem dowiadujemy się, że zetesempowcy z Wysokiego Mazowieckiego zawzięli się, by mieć swoje muzeum: znoszą stare żelazka, patefony z tubą i inne przedmioty codziennego użytku naszych przaszczurów. Na co liczą? Znowu na superlicencję?

☆

W spożywczym „blaszaku” na osiedlu Jantar w Łomży od pewnego czasu codziennie widzimy stertki posiekanych przez myszy papierów. Apelujemy więc do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami — by pocisnęło handel o przydzielenie im specjalnych kartek; na naszym wikcie, który ze wstrętem omija, długo biedaczyska nie pociągną.

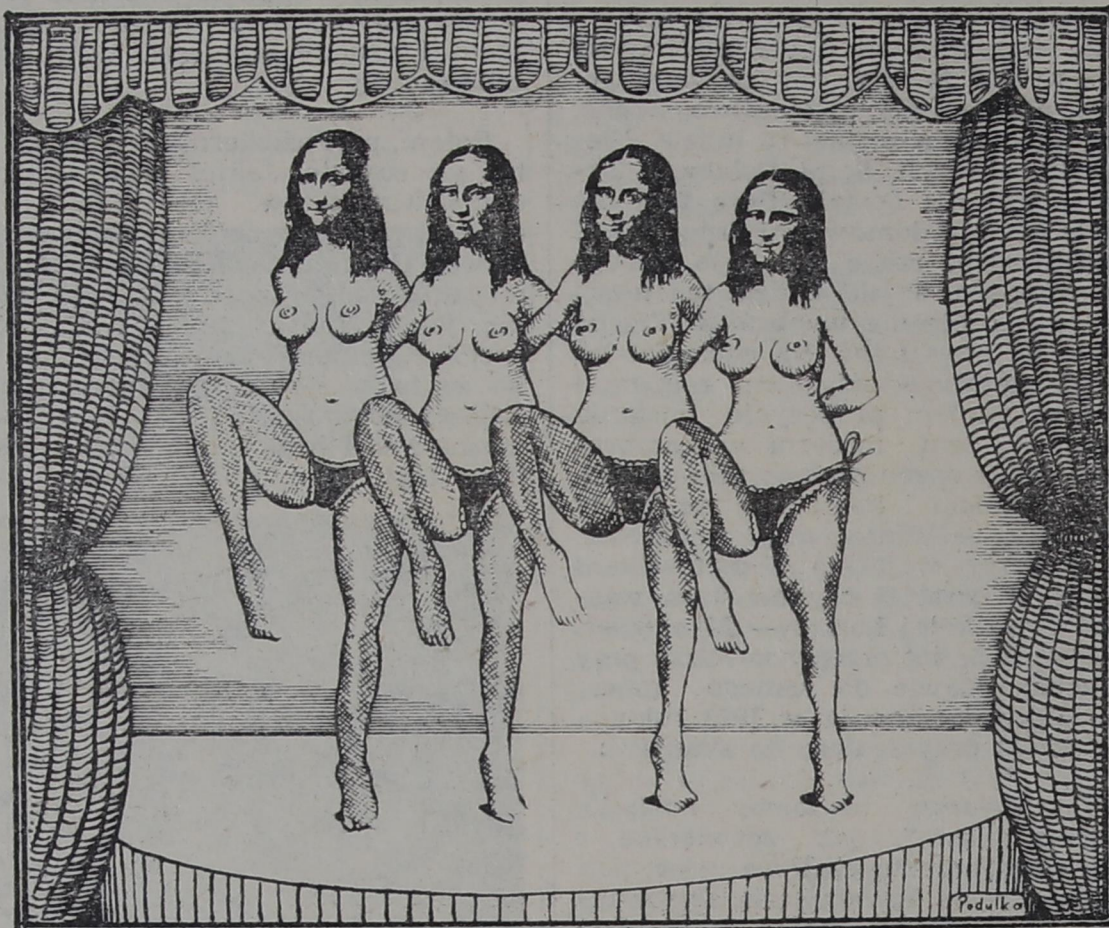


GENIUS LOCI

Wiele już uprawiałem humanistycznych specjalności — byłem wykładowcą, naukowcem, poetą, powieściopisarzem, scenarzystą, kierownikiem literackim teatru, dziennikarzem, krytykiem, tłumaczem, redaktorem i czym kto chce. Aktorem jednak nie byłem i nie przypuszczałem, aby się to mogło stać. A jednak coś takiego, ku mojemu szczeremu rozbawieniu, właśnie się wydarzyło. Siedziałem parę miesięcy temu prawie bezrobotny i zastanawiałem się, co dalej. Pisma zawieszono, wydawnictwa niemrawe — to i tamto się robi, lecz niewiele. Piszę „prawie”, bo całkiem bezrobotny nie byłem: piszę przecież następną powieść, a projektuję inną jeszcze książkę. Lecz z pisania dzieł wiekopomnych w Polsce wyżyć nie sposób, więc trzeba zawsze mieć coś doraźnego. Ale co? Hodować pieczarki czy fiołki? Sprzedawać pomysły czy może kapustę?

W tym — mocno niejasnym — stanie ducha zastał mnie stary przyjaciel, poeta Bohdan Wrocławski. Pojął on już dość dawno temu, że z wierszy także wyżyć się nie da — chyba że ktoś te wiersze zaśpiewa, więc stworzył kabaret, który funkcjonował przez lat parę (w zeszłym roku jako „Trzeci oddech Kaczuchy”), a teraz postanowił imprezę przywrócić o życia. Spojrzałem sceptycznie na moje zawalone papierami biurko, z czego na ogół wynika coś odwrotnego, niżby się wydawało, a to mianowicie, że praca idzie nędznie, i powiedział: „A może byś napisał jakąś piosenkę?” W pierwszej chwili wzruszyłem ramionami, ale potem sprawa zaczęła mnie uwiierać. Wreszcie siadłem i napisałem, zaś Andrzej Rybiński skomponował melodię. Potem następną...
Aż przy kolejnym spotkaniu Bohdan zawyrokował: „Wiesz, nawalił

jak zostałem aktorem



Rys. Andrzeja Podulki

nam śpiewak Steran Zach. Na plakacie zostało miejsce, które trzeba zapłacić nalepką z innym nazwiskiem. Twoje ma akurat potrzebną liczbę liter... Napisać jakiś monolog, pojedź z nami, wygłoś, zobaczymy. Pewną pociechą w tym wszystkim było to, że nie musiałem zas-

tępować Zacha w śpiewie, choć zapewne w jakiejś wilczej kapeli miejsce miałbym wybitne. Coś więc tam z drżeniem serca napisałem i z jeszcze większym — wygłosiłem kierownictwu kabaretu „Ostatnia zmiana”. Pono było dobre, lecz przydługie. Zaczęłem więc usuwać rze-

czy niekonieczne i okazało się, że naprawdę koniecznych rzeczy w tym, co piszemy i mówimy, jest naprawdę bardzo niewiele. Lecz to był dopiero początek. „Ostatnia zmiana” spakowała manatki i w komplecie zjechała do Olsztyna, gdzie z różnych względów — administracyjnych i nie tylko — rozbiła kwatery główną. A więc próby, szlify, światła i co tylko się tam składa na tę formę teatru. Mam niejakie obawy z publicznymi występami, ale to całkiem co innego. Odczyt, wykład, publiczna dyskusja — niczego takiego się nie boję. Lecz tu musiałem bawić i śmieszyć, a do tego literalnie pamiętać własny tekst.

Kiedy przyszedł nieuchronny dzień premiery, a sala zaczęła wypełniać się ludźmi, byłem prawie nieprzytomny. Zgasły światła, przyszedł numer pierwszy i trzeci, wreszcie przyszła moja kolej. W nogach czułem ołów i beton, w ustach Sahara, w sercu rozpacz i pewność porażki. Ciężko wdrapałem się na scenę, wyciągnąłem rękę w stronę niewidzialnej publiczności (bo mnie oślepiały światła) i zacząłem...

Trwało to już tydzień. Znajomi aktorzy przychodzą i dają mi rady „jako koledze aktorowi”. A ja zacząłem się „uczyć od widzów” i jeszcze raz formować interpretację. Kiedy mnie czasem porywa szalona trema, mówią mi: zobaczysz, kiedy się nasza tura występów skończy, będziesz marzył, żeby jak najszybciej zaczęła się następna. Bo jest to narkotyk silniejszy niż wszystkie inne. Kto wie, może to i prawda? Na razie mój dzień składa się z bardzo odmiennych części: rano staram się pisać, wieczorem — grać.

Kabaret „Ostatnia zmiana” był w Łomży rok temu, z innym naturalnie, programem. Pewnie będzie znowu za miesiąc. Z trema w sercu — zapraszam.

PIOTR KUNCEWICZ

NA PIĘCIOLINII

Czy biały człowiek może z powodzeniem śpiewać bluesa, soul, gospel czy spiritual? W zasadzie czarnoskórzy wykonawcy twierdzą, że jest to mniej więcej tak, jakby mieszkaniec Harlemu zaczął tańczyć Krakowiaka. Jeśli jednak wśród harlemowców znajdzie się chociaż jeden zdolny do wyśpiewania i wytańczenia na tę polską nutę, to równie dobrze nad Bałtykiem może urodzić się człowiek, który sprosta tamtej muzyce. I taki człowiek — nazwiskiem Sojka — istnieje. Na imię dali mu Stanisław. Ostatnio ukazała się w „Polskich Nagraniach” druga jego płyta długogrająca zatytułowana „Blublula” — nagrał ją w towarzystwie doskonałego pianisty Wojciecha Karolaka, kontrabasisty Zbigniewa Wegehaupta i perkusisty Czesława Bartkowskiego. Doborowe towarzystwo. Można nawet powiedzieć, że pierwsza liga.

Trudno — mówiąc o muzyce — Murzynów — dokonywać uogólnień, ale też Sojka jest ewenementem i należy do nielicznej grupki białych

blublula

wykonawców na świecie, zdolnych w tak ekspresyjny i autentyczny sposób oddać klimat wspomnianych gatunków. Ma niewiele ponad 20 lat, można więc wnioskować, iż wszystko jeszcze przed nim, chociaż „Blublula” pokazuje nam artystę dojrzałego, o jasno sprecyzowanym profilu zainteresowań; człowieka wrażliwego, zakochanego w tym co robi, jednym słowem — giganta na miarę swych zamierzeń.

Stanisław Sojka — z wykształcenia skrzypek, z zamiłowania pianista — wokalną karierę zaczynał od początku. Znaczący to, iż najpierw śpiewał gospels czy spirituals, a więc pierwotne pieśni religijne czarnoskórych mieszkańców Stanów Zjednoczonych, później sięgnął po standardy jazzowe, by wreszcie zainteresować się muzyką stylizowaną, a więc rytmem and bluesem. Tak chyba w skrócie można nazwać to, co robi w tej chwili, chociaż ta jego muzyka ma wiele odcieni. W wokalistyce Sojki słychać z pewnością Ray Charlesa czy Al Jarreau, ale to nie jest zarzut, bo Sojka korzysta z dobrych — czy może nawet, w jego przypadku — jedynych wzorów, naprawdę godnych naśladowania.

Kiedy przed kilku laty jeden z moich radiowych kolegów zaprezentował mi anonimowe nagranie kilku spirituals, wiedziałem, że nie jest to Ray Charles, chyba że trochę niedysponowany, czy też Jarreau, ale do głowy nie przyszło mi, iż może to być biały, a w dodatku urodzony nad Wisłą. Minęły lata i oto leży przede mną rewlacyjna — nie zawaham się tak powiedzieć — płyta „Blublula”, na okładce której do kilku pustych butelek po winie szczyrzy zęby, dzisiaj już mój bardzo bliski kolega. Ale jak mówią: nie ma dżazu, bez gazu.

Repertuar, na który porwał się Sojka przysługując płytę, jest srogi dla każdego jazzmana. Obok modernu reprezentowanego przez bardzo trudną „Naime” Coltrane’a, jest znany doskonale z repertuaru Charlesa (a to niebezpieczne!) „Oh, What a Beautiful Morning”, ellingtonowska „Satin Doll” koresponduje tu z wokalną wersją słynnego standardu T. Monka „Blue Monk”, do którego zresztą Sojka napisał dowcipny, polegający na grze słów tekst, „Doxy” S. Rollinsa poprzedza jed-

nominutowy „P.S. All Blues” M. Davisa. I w zasadzie w każdym z tych utworów Sojka jest inny, bez względu na to czy śpiewa scattem, czy też używa słów, a jego angielski — czy może nawet amerykańskomurzyński — brzmi doskonale.

Przez świat przewalają się różne mody na różne style, ale jedno jest pewne: stary, dobry swing — w każdym wydaniu — będzie istniał zawsze. Jest to bowiem muzyka żywa, pulsująca, niosąca ze sobą radość dla słuchacza. Sojce proponowano już występy w kościołach w Stanach Zjednoczonych, jak dotąd nie zdecydował się. Nagrał natomiast jedną płytę w Hamburgu, również w towarzystwie Wojciecha Karolaka, bez wątpienia najlepszego polskiego harmonika. Życzę mu jak najlepiej, ale boję się o podróż do USA, bo ichniejsze płyty są drogie i niedostępne, zaś ja wolałbym nasze, tańsze i będące w zasięgu ręki. Nawet tak schrzaniłone technicznie jak „Blublula”, na której bas i perkusja zasłaniają fortepian, a wysokie rejestry głosu Staszka skrzeczą od przesterowania.

JAN JANUSZEK

z kryzysowym ŻYCIE TOWARZYSKIE

wdziękiem

Pytanie dobre w sam raz na koniec maja: dlaczego, u licha, czuję się nieswojo, jak w garniturze ze starszego brata? Powodów do odzyskania równowagi wyliczyć można sporo, bo i ocieplenie czuje się w powietrzu, i lody na ulicy, i syjam wreszcie przy otwartym oknie. Do tego dochodzą tradycyjne Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy, a więc w jakiejś mierze i Dziennikarzy. Mógłbym świętować.

Tymczasem co rano boli mnie głowa, a im bliżej wieczora, tym jest gorzej. Koledzy z pracy mówią: z przysługą, że zmierzniłem na twarzy, a oczy mam jak nekrolog. Zamiast na koncert do amfiteatru czy po książkę z autografem pisarza, że już nie wspomnę o Świecie Kultury Staropolskiej lub biennale literatury dziecięcej w Łomży — trzeba chyba będzie wybrać się do przychodni. Przymusowa bezczynność, niech i ze świadomością, że jesteśmy w dobrych rękach, staje się rychło udręką nie do zniesienia. Zwłaszcza, kiedy się tyle w kraju dzieje, o czym donoszą bezustannie koledzy po piórze.

Weźmy choćby wydarzenia na okoliczność Dni Kultury: wystawa goni za wystawą, orkiestry dęte za biblioteką, a jakby tego było mało — Filharmonia w Częstochowie dostała dyplom honorowy od ministra. Choć prawdę powiedziawszy znacznie większe wrażenie zrobiła na mnie wiadomość, że nie ma komu wykupić Wyspiańskiego. Tylko spokojnie, panowie, nie ma potrzeby pędzić do księgarni, chodzi bowiem nie o znaczny nakład Czwartego Wieszcza, lecz dokładnie o jeden egzemplarz, za to w dwunastu tonach. Niezorientowanym w dalszym ciągu, w czym rzecz, spieszę z wyjaśnieniami: otóż jedno z krakowskich towarzystw zamówiło sobie w hucie pomnik Wyspiańskiego na któreś lecie, według projektu prof. Koniecznego zresztą. Czterometrowej wysokości monument miał pierwotnie kosztować jakieś głupie dziesięć milionów. Reforma terazniejsza nie oszczędziła jednak i materiałów na pomniki. W tym wypadku zdrożały z dnia na dzień coś ze dwa razy. Pomnik człowieka, jak najbardziej zasłużonego, dzięki ofiarnej pracy naszych hutników jest

już prawie gotowy, można by go dziać wycieczkowej niedługo pokazywać jako dowód, że nie nadaremnie rozwijaliśmy przez trzydzieści parę lat przemysł ciężki. Okazuje się jednak, że towarzystwo nie będzie w stanie wyłożyć dodatkowo kilkunastu milionów, czy — jak chce Dziennik Telewizyjny — choćby pięć. Nie ma co, również dla towarzystw zawiązywanych jedynie w celu uczczenia nastąpiły ciężkie czasy. Jak powiedział jeden z zawieszonych przesłan, lepiej chyba już samemu się rozwiązać niż nie dociągnąć do pierwszego, albo kryć się przed wierzytelcami. Co pocnie krakowskie towarzystwo, nie mam na razie pojęcia. Nie mogę mu też pomóc w tarapatkach, chyba żebym się dorobił, co nie nastąpi jednak przed wyprowadzeniem się z kryzysu.

Drugie wydarzenie na fali majowego festiwalu kultury miało miejsce osiemnastego. Nie było jak pisałem, bo Andrzej Kuśniewicz zgłosił tego właśnie dnia gotowość do pracy. Uczynił to z iście kryzysowym wdziękiem, powiadając czytelników „Życia Warszawy”, że od dłuższego czasu poszukuje gdzie się da, ale wciąż bezskutecznie, rzy papieru maszynowego. Nie wzruszyłem się za bardzo, bo w końcu wszystkim nam nie starcza: ministrom, którzy wydierają sobie nawzajem przydziały, maszynistkom, które biorą się do przepisywania tylko wówczas, gdy zobaczą pieczęć zwierzchności... Zmógł więc mnie natomiast Ibis, który dopisał do listu Kuśniewicza, że najbardziej bolą książki nie napisane. Skoro aby temu zapobiec potrzebny jedynie papier, wyszperałem kilka naście kartek i posłałem autorowi TRZECIEGO KRÓLESTWA. Ostatecznie, jeśli się nie rozchoruje, mogę te felietony pisać na resztkach przedkryzysowych, marginesach gazet albo, wzorem wieśniów, o których gdzieś ostatnio czytałem — na szmuglowanej bibuli do skretów. Wielu bliższych i dalszych znajomych ucieka się do tego rodzaju sposobów — i to nawet bez świadomości, że mogą się przyczynić do narodzin czegoś wielkiego, zachwycającego w swej niepowtarzalności.

JAN KWASOWSKI



W Szczuczynie ludzie powinni być szczęśliwi. Miejscowa Spółdzielnia Mieszkaniowa buduje bloki, będą mieszkania. Natomiast Gminna Spółdzielnia to potentat; ma własny młyn, piekarnię, masarnię, rozlewnię wód i piwa. Nie grasuje tu wielkomięska stonka, która wykupi wszystko i zje. Wokół tereny rolnicze. Łatwo dowieźć mąkę, tuczniki. A więc ludzie w Szczuczynie mogliby być szczęśliwi, lecz nie są.

Poniedziałek, 31 maja: sklep spożywczy przy ul. Łomżyńskiej zamknięty, sprzedawczynie nie pracują, w zamian za sobotę. O zaopatrzenie pytam — odpoczywających na ławce — rodowitych szczuczynian.

— W naszym sklepie najczęściej jest kielbasa jednego gatunku po 350 złotych; jak się nazywa, nie wiem, nie ma etykiety.

— Ostatnio kupiłam taką po 190 złotych, ale gdy ją syn zjadł, nie spał przez całą noc, żołądek go bolał.

— Z mięsem też nie jest najlepiej. Po podwyżce nie ma kolejek, lecz mniej jest żeberka, boczku, golonka. W poprzednim tygodniu była wołowina bez kości po 250 złotych i schab. Kto to może kupić?

— Zostawiłam kartki na koniec miesiąca, myślałam, że coś dobrego przywieją. Ale sklep zamknięty, w innym też nic nie ma, kartki przepadły.

— Pierwszy raz od tygodnia chleb nie jest spalony; to po kontroli Sanepidu. Ale bułeczki pojawiają się w odstępach dwutygodniowych. Choczy na żółtaczkę jeżdżą po nie do Grajewa.

Po tej rekomendacji szczuczynskiego handlu odwiedzam drugi pawilon spożywczy. Na półkach działu mięsnego kilkanaście puszek groszku z marchewką i dwie — konserwowych zielonych pomidorów. W skrzynce trzy konserwy z wołowiną, jedna z bombazem. Mięsa i wędlin dzisiaj nie

wilonie spożywczym sytuacja podobna.

— Pół godziny temu chleb przywieźli, ale nie ma kto rozładować — wołają oczekujący.

— Ośma godzina, rolnik powinien w polu pracować, a nie stać w kolejce za chlebem.

— Nauczyciele też tu stoją.

— Nie było problemu z chlebem, kiedy w Wąsoszu piekli, ale GS zbankrutował, to i piekarnię zamknęli.

— Dlaczego w naszym sklepie nie ma żeberka, smalcu. W miastach landrynki są bez kartek, a u nas nie. Napoje były w piątek, dzisiaj jest środa.

Pęcznieje notes z zapisanymi zarzutami, skargami, żądaniami. Odpowiedzi na nie jadę szukać w szczu-

wicz. Wyjęła z pieca babki piaskowe i drożdżowe. Dzisiejszy wypiek zjedzą dzieci pracowników Gminnej Spółdzielni z okazji Dnia Dziecka. Do sklepu nie trafi ani jedna sztuka.

— Myślę by piec więcej, zwłaszcza placków, ale sama nie poradzę. Ciasta do pieca nie włożę, muszę czekać, aż któryś z piekarzy ma czas i mi pomoże. Pracowałyśmy we trójkę, ale koleżanki poszły na urlop, wychowują dzieci.

W przejściu mijam konwojentów, wożących konnym wozem chleb. Tracają się porozumiewawczo. W Szczuczynie jest dzisiaj dużo piwa.

W masarni trafiam na rozbiór wieprzowiny. Pod nóż poszło dzisiaj dwadzieścia tuczników. Trwa ćwiartowanie sztuki przywiezionej ze skupu w Wąsoszu; została uduszona

serc peklowanych, 12 kilogramów mięsa z mechanicznego odmięśniania i 2 kilogramy maki ziemniaczanej lub pszennej. Trzeba mocno się głowić, żeby coś jadalnego z tego posklejać.

O dwunastej miało być mięso w sklepie. Dział mięsny nieczynny, sprzedawczynie poszły po towar. W piekarniczym półki pełne chleba, kupujących ani śladu.

Prezes Gminnej Spółdzielni w Szczuczynie, Stanisław Borawski, ocenę firmy zaczyna od siebie: — W GS-ie pracuję od dwunastu lat; prezesem zostałem w ubiegłym roku. Przed powołaniem sprawdzali mnie lustratorzy NIK-u, Komenda Wojewódzka MO. Chciałem odejść na własną prośbę, dość mam tych posądzeń, donosów, anonimów, pisanych ciągle przez te same osoby. Mogły być pretensje, że nie ma tańszego mięsa; rozprawialiśmy je przez zakłady pracy, do miejskich sklepów trafiały więc gatunki droższe. Ale w tym tygodniu postanowiłem skończyć z rozdziałem i wszystko skierować do sklepów. Na pewno nasze wędliny nie dorównają wyrobom z zakładów mięsnych w Elku. Ale wątpię, czy ludzie byliby zadowoleni, gdybyśmy je stamtąd przywozili; narzekaliby, że za drogie. Poprawi się zaopatrzenie w chleb, gdy wyremontuję jeden z trzech roburów. Muszę dbać o transport, bo to, oprócz młyna i sklepów, jedno ze źródeł dochodów. Teraz to szczególnie ważne, bo bank wstrzymuje nam wypłatę kredytów.

Może finansowe kłopoty sprawiły, że szczuczynski GS szuka łatwych zysków. Naczelnik Wąsosza, w którym istnieje filia szczuczynskiego GS-u, przytacza taki fakt: — Na początku roku obie gminy otrzymały przydział cementu. Szczuczynianie wykupili go na pniu, zaś załatwianie formalności rolnikom z Wąsosza zajęło tyle czasu, że cement w magazy-

eldorado

czyńskim GS-ie. Geesowskie magazyny mieszczą się za miastem, dalej rozlewnia wód i piekarnia. Zastępująca kierownika piekarni, Zofia Gazowska, mówi o kłopotach kadrowych.

— Na liście obecności wpisanych mamy piętnastu piekarzy. Jeden leży w białostockiej klinice, drugi w szpitalu, trzeci przygotowuje się do emerytury, więc w pracy często jest nieobecny. Mamy też trzech masarzy, chwilowo oddelegowanych do pracy w piekarni. Brakuje ludzi, więc nie należało wyrzucać tych trzech, którzy 23 maja się upili w pracy i dopuścili do spalenia dwustu pięćdziesięciu bochenków chleba. Dostali nagany i zobowiązali się pokryć straty. Piekliby bułeczki, ale kto je będzie wyrabiał. Mieliśmy maszynę, zepsuła się, a ręczną prasą można u-

w upale i tłoku. Po badaniu weterynarz zakwalifikował mięso jako pełnowartościowe. Choć w wodę bieżącą można pobierać tylko z jednego kranu, brudu nie widać. Może dlatego, że posadzka zrobiona na czarno, ściany pomalowane ciemnoniebieską farbą olejną, a okna i drzwi nie wpuszczają zbyt wiele światła. W pomieszczeniach trzeba poruszać się ostrożnie; ciasno tu, łatwo stłuc nogę o wózek czy pojemnik albo stanąć oko w oko z rozciągniętym na haku tucznikiem.

Zastępująca kierowniczkę masarni, Czesława Muczyńska, opowiada o tajemnicach sztuki masarskiej: — Dzisiaj do sklepów dajemy mięso. Ludzie narzekają, że dostarczamy małe ilości tańszych gatunków, ale co zrobić, jeśli świnia ma dziesięć kilogramów schabu, a tylko pięć —



będzie W dziale piekarniczym dostawa chleba białego

— Bułeczki otrzymujemy bardzo rzadko — mówią sprzedawczynie. — Przydałyby się, ale podobno za mało maki otrzymuje piekarnia. Brakuje ciast; nie tych drogie, wyszukanych, ale najprostszych drożdżówek. Pod dostatkiem jest masła, sera. Mleko czasem zostaje. Kolneńska Spółdzielnia Mleczarska zapowiedziała, że nie sprzedanego mleka nie będzie odbierać, musimy je wylewać.

Odwiedzam sklepy ponownie w środę, 2 czerwca o godzinie 7.45. Zaczynam od Wąsosza — tą gminą również opiekuję się szczuczynski GS. Przed kioskiem kolejka. Na półce kilka bochenków chleba, wszyscy czekają na dostawę świeżego. W pa-

formować trzydzieści bułek; kto będzie się z tym bawił, jeśli brakuje ludzi do pieczenia chleba? Gdy zamowienia na chleb są mniejsze, wtedy możemy piec bułki. Ostatnio kontrolujący z Sanepidu przekazali mi uwagi, które dotyczyły urządzeń sanitarnych; jakość chleba była bez zarzutu.

Wokół wózki z rumianymi bochenkami, rzadko który ciemny, przypalony.

— Smak chleba zależy od wielu czynników — wyjaśnia Zofia Gazowska — chociażby od wyłączenia prądu. Zdarzają się często, są zbyt późno zapowiadane, aby można było przeciwdziałać ich skutkom.

Obok, przy wolnych stołach, pracuje cukierniczka, Danuta Domusie-

żeberek Droższych wędlin niż po 450 złotych staramy się nie produkować. Każdą ich partię bada specjalna komisja. Ta zwyczajna, to wczorajszy wyrób

Lekko wędzona kielbasa, ma normalny kolor; przez zapach czosnku i majeranku przebija smak mięsa. Gdy odkrojone kawałki poleżą kilkanaście minut na słońcu, w niektórych miejscach jaśnieją — to krył zmienia barwę.

— Byłaby lepsza jakość, gdybyśmy mieli inne receptury — mówi kierowniczka masarni. Proszę, oto receptura kielbasy litewskiej; na 100 kilogramów wyrobu trzeba zużyć 15 kilogramów mięsa wieprzowego drugiej klasy, 10 kilogramów wołowego, peklowanego z głów, 10 kilogramów

nie doczekał się podwyżki. Pieniądze poszły do Szczuczyna. Rachunek krzywd trzeba by wydłużyć o zaopatrzenie w sklep. W Radziłowie mają własny GS. Mięso, na przykład, przywożą z Elku i są zadowoleni.

Chwieją się podstawy szczuczynskiej spółdzielni. Nie zmodernizowana rozlewnia wód ledwie dyszy. Brak kontroli w piekarni doprowadził do marnotrawstwa. Kiedy ogląda się gospodarstwo spółdzielni, rodzi się refleksja, że brak tu gospodarza, który pilnuje całości. Jakby mało było tego, GS inwestuje w budowę bazy napraw samochodów. Czy szczuczynianie będą przyprowadzać tam auta, które kupią za pieniądze zaoszczędzone na bułkach z kielbasą?

WIESŁAW KOŁOWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

interwencje



Co dwa tygodnie w Łomży, najczęściej w piątek, mieszkańcy miasta zjeżdżają wieczorem do sali koncertowej w Szkole Muzycznej. Wcześniej, około południa, przychodzą uczniowie, którzy ze szkół Tego dnia gra Łomżyńska Orkiestra Kameralna, dyryguje Henryk Szewdo. Czasem występują soliści, najczęściej instrumentalni. I tak już piąty rok.

Henryk Szewdo: — Ja dopiero czwarty, ale orkiestra w październiku obchodzić będzie pięciolecie istnienia. Obydwa te fakty uważam za coś niezwykłego.

Hanna Malucha: — W Łomży?

H.Sz.: — Tak, to przecież małe i słabo rozwinięte, biednie wyposażone miasto.

H.M.: — A jednak pan tu przyjechał. Znał pan Łomżę wcześniej?

H.Sz.: — Nie byłem tu nigdy, ale miałem jakiś niejasny, trochę mityczny wyobrażenia: gubernialna przeszłość, zabytkowa katedra, Narzew, pogranicze Kurpiowszczyzny i Podlasia — ale wtedy, w 1979 roku najważniejsza była orkiestra. Nowy, dopiero co sklejony zespół muzyków, fama o wyjątkowym mecenacie władz, no i moje wygłodzenie brakiem czynnego uprawiania muzyki. W 1973 roku, kiedy odszedłem ze stanowiska dyrygenta w Centralnym Zespole Artystycznym Wojska Polskiego, zająłem się pedagogiką. Związany też byłem z Estradą Warszawską jako konsultant muzyczny, ale to przecież, nawet przy największym obciążeniu czasowym, nie mogło dać mi satysfakcji. Więc propozycja objęcia ŁOK była dla mnie atrakcyjna przez połączenie dwóch elementów — artystycznej samodzielności i pewnej egzotyki.

H.M.: — To połączenie powinno być satysfakcją, o braku której wspominał Pan przedtem.

H.Sz.: — Proszę nie brać tego dosłownie, przecież tych sześciu lat przed Łomżą nie zmarnowałem — były mniej owocne w muzyce, ale za to przetłumaczyłem kilka książek.

H.M.: — Pan tłumaczy?

H.Sz.: — A tak, z czeskiego. Właśnie z PWM otrzymałem do korekty szóstki książki Jarosława Vogla „Leoš Janaček”. w moim przekładzie. Jest to książka z rodzaju — życie i dzieło, ale tłumaczyłem także prace z ekonomii, a nawet opowiadania.

H.M.: — Ale skąd znajomość języka czeskiego?

H.Sz.: — Zakochałem się przed laty w pewnej Czeszce. Było to w Tatrach, a dokładnie na Rysach. Kiedy spotyka się dziewczynę na najwyższym miejscu w Polsce, trudno nie zainteresować się nią. Potem były spotkania, już na mniejszych wysokościach, i przesyłki od niej, głównie z książkami o tematyce muzycznej (a takich wtedy w języku polskim było niewiele), więc nauczyłem się czeskiego. A ta dziewczyna została moją żoną.

H.M.: — Rozumiem, że można nauczyć się języka, aby zdobyć dziewczynę, ale po co zaraz tłumaczyć książki?

H.Sz.: — Żeby ci, którzy nie znają języka, też mogli przeczytać, na przykład takie wspaniałe dzieło jak „Noc moim sędzią” Styblovej. Powieść zachwyciła mnie wówczas i, nie porozumiewając się z żadnym wydawcą, przetłumaczyłem ją. Kiedy chciałem to opublikować, okazało się co prawda, że przełożył ją już ktoś inny, ale ja już miałem „wejście” do kręgu tłumaczy. Zacząłem nawet otrzymywać propozycje od

wydawców — z niektórych skorzystałem.

H.M.: — A muzyka?

H.Sz.: — Zawsze miała pierwszeństwo.

H.M.: — Od początku?

H.Sz.: — Tak, chociaż nie pochodzę z rodziny o muzycznych tradycjach i — co gorsze — naukę muzyki, gry na fortepianie, rozpocząłem

czuję plecami

późno, dopiero po wojnie, mając czternaście lat i to spóźnienie, w pewnym sensie, rozciągnęło się na dalsze lata. Oczywiście szkoły i studia kończyłem w terminie, ale kiedy uzyskałem dyplom dyrygenta, w 1958 roku, wszystkie miejsca w tym zawodzie były zajęte, przynajmniej w Warszawie, gdzie od przedwojny mieszkalem z rodzicami. Zaniechano także wydawania absolwentom wyższych uczelni nakazów pracy, które spotykały się z powszechną krytyką, ale w moim zawodzie zapewniały możliwość praktycznego opanowania warsztatu. Koledzy, nie związani z Warszawą mieszkaniem i rodziną,



powyjeżdżali w teren i w większości znaleźli miejsce przy pulpach.

Ja zabrałem się za pedagogikę, ale związałem się również ze studenckim ruchem muzycznym: współpracowałem z Radą Naczelną Zrzeszenia Studentów Polskich (a były to czasy kierowania nim przez Stefana Olshowskiego i Jerzego Kwiatka) jako organizator i redaktor. W owym czasie w środowisku studenckim ożywiła się twórczość i działalność nie tylko teatralna i jazzowa, ale również chóralna i kameralna. Festiwale, konkursy, a także biuletyn, poradnik „Carmina academica” — to był główny teren mojego działania.

Zajął mi to siedem lat i dopiero w 1965 roku zaangażowałem się jako dyrygent w Teatrze Muzycznym w Lublinie, czyli w lubelskiej operetce. Dobrze wspominałem tę pracę, choć teatr był mały i pracowałem

trudnych warunkach (co chyba nie zmieniło się do dzisiaj), ale były to tylko dwa lata.

H.M.: — A to przecież Pana rodzinne strony?

H.Sz.: — Tak, urodziłem się w Bychowie, niedaleko Lublina, ale od tak dawna mieszkam w stolicy, że czuję się warszawianinem i gdy pojawiła się możliwość pracy dyrygenckiej w Warszawie, nie miałem kłopotu z decyzją. Był to angaż do Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. Jest to po prostu duży teatr muzyczno-baletowy: 50-osobowa orkiestra o symfonicznym składzie, chór 80-osobowy, 40 osób w balecie, no i soliści. Różnorodny repertuar i formy — od piosenek, składek do fabularnych widowisk scenicznych. Oprócz tego wielkość potrzeb repertuarowych, wynikających choćby z okolicznościowych obowiązków, sprawiała, że, jak w każdym żywym teatrze, czas wypełniała bez reszty twórcza praca. Smałku dodawały jej liczne podróże po krajach demokracji ludowej i udział w wielkich imprezach, takich choćby jak kolobrzeski Festiwal Piosenki i Piosenki Żołnierskiej. W 1973 roku, po sześciu latach, zrezygnowałem z tej pracy.

H.M.: — Użył Pan określenia samodzielność i egzotyka, mówiąc o początkach swojej współpracy z Łomżyńską Orkiestrą Kameralną.

H.Sz.: — Egzotyka wynikała z zestawienia tego, co wiedziałem o Łomży z faktem założenia tu zawodowej orkiestry. Ważniejsza była możliwość samodzielnego kształtowania zespołu i programu.

H.M.: — Sytuacja pozwalała na coś więcej, nawet na samowolę artystyczną.

H.Sz.: — Tak, zdarza się w takich warunkach, że ambitne zamierzenia kończą się fiaskiem, tandetą, ale u nas jest chyba inaczej.

H.M.: — Rozpoczęłam naszą rozmowę od prowokacyjnie słodkiego obrazka koncertowego dnia w Łomży. Czy tak właśnie przyjmowana jest działalność koncertowa?

H.Sz.: — Mogłoby to skwitować dziarskim porównaniem ilości słuchaczy naszych koncertów w stosunku do liczby mieszkańców, a na do-

datków porównać to np. z danymi dotyczącymi Filharmonii Narodowej i wykazać w ten sposób, że w Łomży jest w tej dziedzinie całkiem dobrze. Nie o to jednak chodzi, ale o wzbudzenie w społecznym organizmie miasta Łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej. Tak fakt ma wiele skutków: powiązanie ze szkolnictwem muzycznym, wsparcie muzykami o niezłym poziomie amatorskich zespołów muzycznych i chóralnych, powstawanie mniejszych zespołów muzycznych o mieszanym składzie — to od wewnątrz, od strony zawodowej. Na zewnątrz zaś, to właśnie owe stałe dni koncertowe, z których podsmakują się Pani, koncerty w szkołach, to obecność żywej muzyki poważnej w mniejszych miastach województwa, a nawet w miejscowościach gminnych i wreszcie — funkcje reprezentacyjne, jak choćby ostatnie koncerty 1-majowe. Jest także komu zagrać w audycji telewizyjnej i w zaprzyjaźnionym bułgarskim mieście Widin. Są jednak i „przykrości”, jak np. mieszkania dla muzyków.

H.M.: — Ja chcę zaprezentować Pana osobę, a Pan zastawia się orkiestrą.

H.Sz.: — Bez orkiestry to nie miałoby sensu. Niemożliwa byłaby również jakakolwiek moja satysfakcja.

H.M.: — A co to jest w Pańskim przypadku?

H.Sz.: — Na przykład, kiedy w czasie koncertu czuję plecami zaciekanie ludzi tym, co będzie w programie koncertu. Pewnie, że brak mi, i muzykom z orkiestry, i występującym solistom jakichś bardziej spontanicznych reakcji i kontaktów np. podejścia kogoś po koncercie i nawiązania rozmowy na temat wykonanej muzyki, ale i to chyba przyjdzie z czasem. Nam i naszym słuchaczom brak także pomocy miejscowej prasy w postaci stałej, lakonicznej choćby recenzji o tym, co robimy.

H.M.: — To chyba nie jedyny kłopot.

H.Sz.: — Oczywiście. Jeśli ŁOK ma istnieć nadal — musi się rozwijać. Na razie jest to problem uzyskania pełnego składu 24 muzyków — brakuje więc jeszcze siedmiu. Ale jest to także siedem nieosiągalnych mieszkań.

H.M.: — Pan chce zrezygnować z ŁOK?

H.Sz.: — Nie, ale powinienem zejść na pewien czas z oczu orkiestry i publiczności. A tak, pod przymusem sytuacji, zrasta się z zespołem, jestem z nim utożsamiany. Bywa tak, właśnie w orkiestrach kameralnych, ale działających na innej zasadzie, jak choćby zespół Maksymiliana.

H.M.: — Przede wszystkim ŁOK ma inny cel, nie wyłącznie artystyczny. Chociażby, co trzeba przyznać, udało się Panu zaproponować i utrzymać pewien poziom repertuarowy mimo nieuniknionych, pozamuzycznych serwitutów.

H.Sz.: — I to jest gratka, dla której chcę nadal pracować w Łomży z tym zespołem. Żeby tylko utrzymać się życiowość władz: to nastawienie, które sprawiło, że w Łomżyńskim Towarzystwie Muzycznym możliwe było założenie, a potem upaństwowienie, orkiestry. Mecenat nad sztuką, kulturą to nie tylko sprawa pieniędzy, ale — jeśli można użyć metafory — także potrzeba rozumnego serca.

Rozmawiała Hanna Malucha
Fot. GABOR LÖRINCZ

nasze orły kochane

Czytelnicy tej rubryki wybaczą mi zapewne, że zamiast zwykłego roztrząsania problemów, lub jak kto woli problemów, nurtujących sport w naszym województwie, będzie dziś co nieco o piłce nożnej. Inne zresztą potraktowanie kibiców w dniu dzisiejszym byłoby co najmniej nietaktem.

Jakże postąpić inaczej? Mistrzostwa świata w piłce nożnej zdarzają się raz na cztery lata i zgodzę się z każdym, kto powie, że nie ma nic przeciwko temu, aby odbywały się przynajmniej dwa razy częściej. Obecnie są dopiero dwa, następnym razem dopiero za dwadzieścia lat. Obecnie są dopiero dwa, następnym razem dopiero za dwadzieścia lat. Obecnie są dopiero dwa, następnym razem dopiero za dwadzieścia lat.

Mimo najszerszych chęci, jednak z przyczyn obiektywnych (czytaj technicznych) nie chcę w tym miejscu rozważać szans biało-czerwonych, chociaż pierwszy mecz naszej jedenastki w tych mistrzostwach z drużyną Italii odbył się już trzy dni temu a pozostali dwaj przeciwnicy naszych piłkarzy, Peru i Kamerun, stoczą pojedynek przedwcześnie. Po prostu piszę te słowa, a i to poganiany przez sekretarza redakcji, dokładając na dziesięć dni przed inauguracyjnym pojedynkiem z drużyną Argentyny z drużyna Czerwonych Diabłów, którym w

końcu udało się „załatwić” odwiecznych swoich rywali — Holendrów. Tak więc wszystko, co tu zostanie napisane, będzie gdybaniem. Myślę się jednak ktoś, kto przypuszcza, że spróbuję wytypować wyniki spotkań i to nawet tych, które w rzeczywistości już się odbyły a które w chwili pisania są jeszcze przede mną. Taki odważny to ja nie jestem!

Być może to, co teraz piszę wydawać się może komuś nudnawie i śmieszne, ale czynię to ze szlachetnych pobudek i dla uspokojenia także własnych nerwów przed czekającymi nas jeszcze czterema pojedynkami pozostałymi do rozegrania w „polskiej” grupie. Już jutro Włochy spotkają się z Peru. Ten właśnie pojedynek może mieć decydujące znaczenie dla ostatecznego układu tabeli grupy pierwszej: pojutrze nasi grają z Kamerunem, co okazać się może nie tylko spacerkiem jak sądzi niektórzy, a we wtorek będą walczyć z jedenastką Peru. Teraz zaś niech mi będzie wolno wyrazić życzenie abyśmy w przyszłą środę nie musieli trzymać kciuków za Kamerun w meczu z Włochami, bo inaczej moje dalsze rozważania czy będziemy grać w grupie A — w przypadku zwycięstwa pierwszego meczu, czy też w grupie C — gdy lupem będzie „tylko” drugie miejsce w grupie, zdadzą się psu na bide.

Jeśli jednak wszystko pójdzie dobrze a na razie optymistą jestem nie tylko ja, to w ćwierć finałach trafimy prawdopodobnie na Argentynę lub Belgów, których typuję na „czarnego konia” turnieju oraz zespół Związku Radzieckiego

Tak być może w przypadku wywalczenia przez naszych pierwszego miejsca w grupie eliminacyjnej. Druga możliwość w przypadku wicemistrzostwa grupy, może tylko tym się różnić od pierwszej że zamiast ZSRR jednym z naszych przeciwników będzie Brazylia. A może Węgry zamiast Belgii, może Argentyna lub nieobliczalni Szkoci? Wszystko jest możliwe jako że „piłka jest okrągła”. Zresztą, jak twierdzi Edmund Zientara: — W piłkę można najpierw trzeba grać, a dopiero potem można rachować. Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, aby Polska zakończyła mistrzostwa świata z lokatą będącą numerem wylosowanym dla nas w Hiszpanii w styczniu bieżącego roku.

Strate czasu i marnowanie papieru byłoby bliższe przedstawianiu przeciwników naszych piłkarzy. Uczynili to za nas i to wielokrotnie, koledzy z innych czasopiśm. Poprzestańmy więc na przypomnieniu wyników meczów uzyskanych przez biało-czerwonych z drużynami, które będą przeciwnikami w pierwszej grupie Z Włochami spotykaliśmy się dotychczas sześć razy i w dwóch punktach jest remis 6:6; wygrana 2:1, cztery remisy (trzy razy 0:0 i raz 2:2) oraz jedna porażka 1:6. Stosunek bramek korzystniejszy jest dla Włochów — 9:5. Natomiast z Peru walczyliśmy Polacy wygrali dwa razy 3:1 i 1:0, z Kamerunem po raz pierwszy nasz zespół narodowy zagra w przyszłą sobotę o godzinie 19.10.

Nasze Orły w finałach mistrzostw świata występowały dotychczas trzykrot-

nie. Po raz pierwszy miało to miejsce we Francji w roku 1938. Przegraliśmy wtedy w eliminacjach z teamem Brazylii dopiero w dogrywce 6:5 (4:4, 3:1). Pojedynki, jak można wyczytać w sprawozdaniach, były porywające. Jednak jedyną osadą ówczesnej porażki pozostał fakt że zdobywca czterech bramek Włocha, wspólnie z Wetterstömem (Szwecja), wśród najlepszych strzelców znalazł się na piątym-złotym miejscu.

Po raz drugi było nam dane uczestniczyć w Mundialu dopiero po 36 latach w RFN. Wiadomo — trzecie miejsce Polacy powalili na kolana dwukrotnych mistrzów świata Włochów, pokonując ich 2:1, wygrali z Argentyną 3:2, rozegrali Haiti 7:0, wygrali ze Szwecją 1:0 i 2:1 z Jugosławią. Ulegli dopiero mistrzom świata, drużynie RFN-u, by na koniec walczyć o trzecie miejsce pokonali Brazylię 1:0.

Znaczenie gorzej było w roku 1978 w Argentynie 0:0 z RFN-em 1:0 z Tunezją 2:1 z Meksykiem, a potem 0:2 z Argentyną, 1:0 z Peru i 1:3 z Brazylią. I jeszcze jedno. Regulamin rozgrywek obecnego Mundialu jest tak pomyślny, aby wykluczyć spotkanie w finale dwóch drużyn południowoamerykańskich lub dwóch europejskich. Ale oczywiście, że to tylko teoria. Mielibyśmy nadzieję, że mistrzowski tytuł mogą potocznie się walczyć. Osobiście liczę na to, że oprócz Belgów najwięcej zabierania w mistrzostwach świata narobią właśnie nasi biało-czerwoni. Nasze Orły kochane!

WYMIATAĆ





SEKS DZIKICH

kosmiczny budzik

Sytuacja staje się coraz bardziej paradoksalna: im więcej ludzi przybywa na naszej planecie, tym bardziej czujemy się samotni. Również postęp techniki i gromadzenie coraz większej wiedzy powoduje, że coraz częściej nasze oczy kierują się w niebo, w kosmos. Zresztą nie tylko oczy. Większe anteny nasłuchują, czy gdzieś w przestrzeni kosmicznej nie nadejdzie potwierdzenie, że nie jesteśmy sami we wszechświecie. Czasami wydaje się, że już jest, ale kończy się z reguły jedynie potwierdzeniem wcześniejszych teorii lub co najwyżej odkryciem nowych właściwości otaczającej nas materii.

W sierpniu 1967 roku pani S.J. Bell z Obserwatorium Radiowego Uniwersytetu w Cambridge, zwróciła uwagę na nowe źródło promieniowania radiowego. Charakteryzowało się ono niezwykłą stałością powtarzania impulsów radiowych. Pełni sceptycyzmu, graniczącego z niedowierzaniem, radioastronomowie rozpoczęli systematyczne obserwacje, chcąc wyjaśnić źródła tych dziwnych sygnałów. Nauczani doświadczeniem nie wykluczali możliwości pochodzenia ich z jakichś ziemskich źródeł. Czasami zdarza się bowiem, że rozmaite przedziwne zmiennie źródła fal radiowych okazują się po prostu zakłóceniami elektrycznymi pochodzącymi z samochodu ze źle wyregulowanym zapłonem albo lodówki. Z biegiem czasu ich podniecenie rosło, zwłaszcza gdy okazało się, że sygnały wysyła jakieś ciało nie większe od planety, znajdujące się stosunkowo blisko — wśród najbliższych gwiazd Galaktyki. Rozważano także możliwości nadsyłania sygnałów przez jakąś cywilizację w kosmosie, bowiem brak było naturalnego wytłumacze-

nia przyczyn powstawania sygnałów, które sprawiały wrażenie czegoś sztucznie wytwarzanego. Zaskakująca była też ich dziwna regularność. Wkrótce odkryto podobne sygnały docierające z trzech różnych kierunków przestrzeni kosmicznej.

A więc, kosmos pełen cywilizacji? Już nie jesteśmy samotni. Dziennikarze anglosascy donosili o rzekomym nawiązaniu kontaktu z inteligentnymi mieszkańcami pulsarów — little green men (małe, zielone ludziki).

Nic z tych rzeczy. Po dłuższych obserwacjach uczeni doszli do słusznego wniosku, że powstawanie sygnałów należy przypisać wibracjom bardzo gęstej gwiazdy, w rodzaju białego karła lub gwiazdy neutronowej. Za odkryciem pierwszego pulsara posypały się następne. A ponieważ najbardziej intrygująca nieżyła stałość ich okresu, nazwano je zegarami kosmosu.

Jest wiele teorii tłumaczących dziwne właściwości pulsarów. Jedno z nich, to model wirującej gwiazdy neutronowej, posiadającej silne pole magnetyczne. Na jej powierzchni znajduje się obszar zwany „rana”, usytuowany mimośrodowo w stosunku do osi obrotu. Wydobywa się tamteży promieniowanie radiowe, które następnie my możemy obserwować w postaci błysków. Dzieje się tak dlatego, że szybki obrót pulsara powoduje docieranie tylko części promieniowania wydostającego się z rany. Zaś my obserwujemy tylko to, które dotarło do nas, gdy „rana” znajdowała się z naszej (obserwatora) strony. W sumie więc obserwujemy efekt podobny do błysków latarni morskiej.

S. T.

TANIE DANIE

krem „Honoratka”

4 jajka, 2 szklanki mleka, 12 dkg cukru pudru, wanilia, 3 dkg maki. Całe jajko i 3 żółtka utrzeć z cukrem pudrem i cukrem waniliowym.

Dodać mąkę i ponownie ucierać na gładką masę. Mleko zagotować i dodawać powoli do masy, mieszając energicznie. Postawić na kuchenkę i podgrzewać, aż masa zgęstnieje. Gdy krem uzyska odpowiednią gęstość, dodać ubitą pianę. Nałożyć do kompotierek i oziębic.

(Według przepisu Danuty Jankowskiej, instruktorki gospodarstwa domowego przy ZW LKP w Łomży).

Para Trobriandczyków (mieszkańców Melanezji, wysp na Oceanie Spokojnym), która postanowiła się pobrać podaje swój zamiar do publicznej wiadomości przez stałe sypanie ze sobą, pokazywanie się publiczne i wspólne przebywanie. Młodzi ludzie, którzy już od dłuższego czasu do siebie należą, pragną małżeństwa z pobudek obyczajowych i materialnych a nie seksualnych, bo tę swobodę ono znacznie ogranicza. Dopóki bowiem Trobriandczyk nie zawrze związku, nie posiada pełnego statusu społecznego, własnego gospodarstwa i szeregu uprawnień. W związku z tym nie ma u nich nieżonatych dorosłych mężczyzn. Tym bardziej że zawarcie małżeństwa przynosi mężczyźnie znaczne korzyści materialne. Otrzymuje on co roku pokazyne świadczenia w formie żywności ze strony najbliższej rodziny żony.

Pozwolenie na małżeństwo od rodziny panny młodej zawarte jest w słowach ojca skierowanych do przyszłego zięcia: „Ty sypiasz z moim dzieckiem — dobrze, pobierzcie się”

małżeństwo

lub w prośbie o drobne podarunki, co oznacza, że młody człowiek został przyjęty do rodziny.

Miodowy miesiąc małżonkowie spędzają w domu rodzicielskim, gdzie sypią razem, ale nie zdejmują odzienia i raczej ze sobą nie żyją. Pełnię szczęścia osiągają dopiero po przeprowadzeniu się do własnej chaty. Tam prowadzą wspólne życie w ścisłym koleżeństwie — razem pracują, dzielą niektóre obowiązki domowe, razem spędzają większość wolnego czasu. Jednakże w miejscach publicznych nie zdradzają się ze swoją wzajemną serdecznością. Idąc razem nigdy nie trzymają się za ręce, ani nie „kaypapa”, czyli nie obejmują się, a najczęściej chodzą „gęsiego”. Mimo tych przesadnych form bycia mężowi i żonie wolno swobodnie żartować publicznie na wszystkie tematy, oprócz spraw seksualnych.

Na ogół stosunki między małżonkami są bardzo dobre, a harmonię i szczęście pożyicia może najbardziej zakłócić zazdrość i cudzołóstwo. Prawo, zwyczaj i opinia publiczna u Trobriandczyków wymagają niepodzielnej przynależności płciowej. Każde złamanie wierności małżeńskiej jest bardzo surowo potępiane.

kobieta, która zdradziła męża i została okryta hańbą zwykle popełnia samobójstwo.

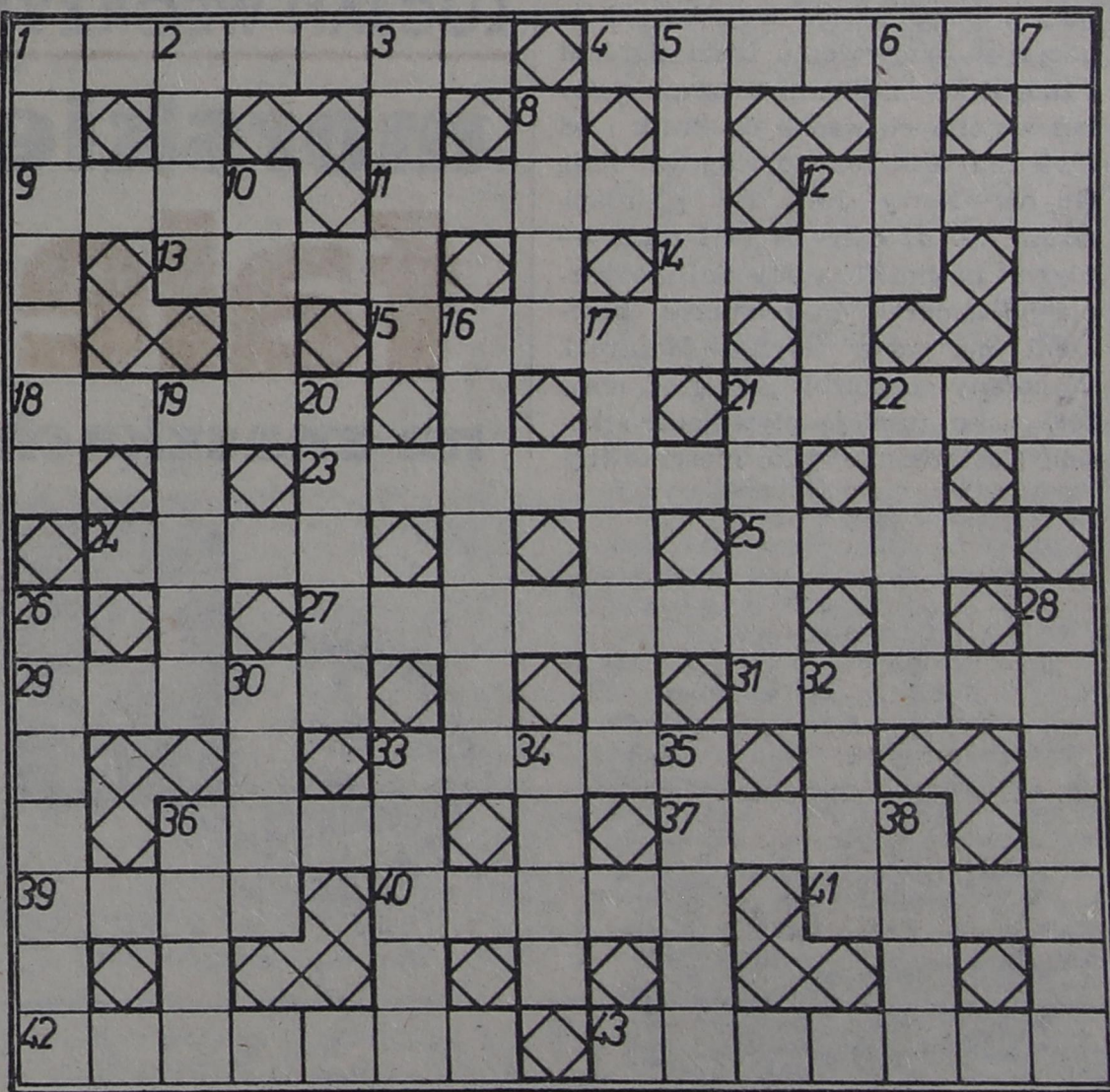
(Opracowano na podstawie — B. Malinowski, „Dziela”, t. 2, PWN, W-wa 1980).

aloes jest dobry na wszystko

Co prawda nie ma na świecie takiej rośliny, która skutecznie leczyłaby wszystko, ale są niektóre o szerszym zastosowaniu. Do nich należy aloes, powszechnie nazywany kaktusem, co jest nieprawdziwe, bowiem pochodzi z rodziny liliowatych. Oficjalna medycyna nie stosuje aloesu jako leku, ale ludowa wykorzystuje go z dawien dawna. Odpowiednio spreparowany aloes leczy wrzody żołądka, oskrzela, wszelkie zaparcia, impotencję i wzmacnia siły vitalne organizmu.

Sposób przygotowania leku jest stosunkowo prosty, choć nie zawsze robi się to umiejętnie. Aloes, co najmniej pięcioletni powinien być silnie rozrośnięty, mieć jędrne ulścienie. Przed ścięciem nie wolno go przez dziesięć dni podlewać. Mokrać, czystą watą wytrzeć liście z kurzu i brudu, ścinać, zawinąć lekko w papier, ale tak, by dochodziło tam powietrze, położyć w ciemnej, chłodnej i suchej piwnicy na pięć dni. Takie leżakowanie wywołuje w roślinie silniejsze stymulatory. Liście lub całą roślinę przepuścić przez maszynkę lub w inny sposób wycisnąć z niej sok i wlać do dużego słoja. Zmieszać z sokiem taką samą porcję miodu i zalać mieszaninę czerwonym węgierskim winem w proporcji 1:1. Całość lekko wymieszać i nakryć słoik pokrywką, lecz nie zamykać hermetycznie. Postawić mieszaninę na dwanaście dni w ciemnym miejscu. Po upływie tego czasu jeszcze raz dobrze wymieszać i rozlać do butelek; lekko zatkać. W pierwszym tygodniu pić trzy razy dziennie po łyżecze przed posiłkami, dziennie i po łyżecze przed posiłkami, — po łyżecze stołowej.

Wrzody i skaleczenia leczy surowa miazga, przykładana na ranę.



POZIOMO: 1) Rozwaga, intelekt; 4) Fortel, intryga; 9) Strone wciąć w stoku górskim; 11) „Handlowa” wolta; 12) Rzeczna płycizna; 13) „Antarktyczna” królowa; 14) Grecki Mars; 15) Laureat nagrody Nobla w dziedzinie chemii w 1922 r.; 18) Jezioro na Pojezierzu Drawskim; 21) W Desie; 23) Zabawy rycerskie w XVII w. które zastąpiły średniowieczne turnieje; 24) „Karma” dla pleca; 25) „Król” co w sobie zupę nosi; 27) Znań z urody i inteligencji druga żona Perryklesa; 29) Hiszpański wójt; 31) Stopień służbowy w hierarchii wojskowej; 33) Kłacz dąli; 36) Biegacz kenijski — rekordzista świata na długich dystansach; 37) Najcieńszy ptak latający; 39) Gęsi go uratowały od zniszczenia; 40) Krecia robota; 41) Masówka, mityng; 42) Wodorotlenek glinu, składnik boksytów; 43) U-tarczka, batalia.

PIONOWO: 1) Miejscowość na trasie Zambrow — Jeżewo Stare; 2) Rodzaj konfitur; 3) Miasto w połowie tygodnia; 5) Węglowodór nasycony, składnik ben-

zyny; 6) Stąd pochodził św. Paweł; 7) Jego rysunki znajdziesz w każdym numerze „Kontaktów”; 8) „Maluch” przeznaczony na złom; 10) Pula pieniędzy w grach hazardowych; 12) Otręsiny jemu urządzają; 16) Miejscowość w dawnej guberni Saratowskiej, skąd pochodzi znany gatunek goczycy używanej do produkcji musztardy; 17) Konkurencja lekkoatletyczna; 19) Ptasia maść konia; 20) Kompres; 21) Dawny podręcznik gramatyki łacińskiej; 22) „Podpora” grzyba; 26) Miasto wyłącznie dla Adama i Ewy; 28) Robota wyłącznie dla komornika; 30) Najmniejsza cząstka składowa pierwiastka; 32) Miasto nad Donem; 33) Zabawa, pochod ukwieconych pojazdów (Włochy pld. Francja); 35) Zgłębiający tajniki sztuki cyrkowej; 36) Ulatwia pisanie na nieliniowanym papierze; 38) Z niego ciepło.

„GOLIAT”
Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

stragan pod 13

Tematyka i motywy marynistyczne związane z polskim morzem i wybrzeżem zajmują poważne miejsce w naszej filatelistyce, będąc jedną z najpiękniejszych jej kart — a szczególnie bliskie są wszystkim miłośnikom morza. Mając na uwadze przypadające na trzecią dekadę czerwca „Dni Morza” chcę wspomnieć o ważniejszych wydaniach i zwrócić uwagę na emisje posiadające bogatą dokumentację naszych wielowiekowych więzi z Bałtykiem oraz chlubnych tradycji morskich z czasów walk o ziemię pomorską i szeroki dostęp do morza.

Tematykę marynistyczną otwiera sylwetka orla białego wracającego nad polskie morze. Znaczek ten, o nominale 50 pfenigów, znajduje się w serii wydanej 15 czerwca 1919 roku z okazji Pierwszej Sesji Sejmu Ustawodawczego Niepodległej Polski. Następne dwa znaczki, na których pokazano żaglowiec na pełnym morzu wydano w latach 1925–26 w serii przedstawiającej różne widoki naszego kraju. Nieznany projektant tych znaczków popełnił błąd, pokazując statek z pełnymi żaglami płynący pod wiatr (kierunek wiatru wskazują fale). Najbardziej udaną inwestycję okresu międzywojennego — Gdynię pokazano na znaczku wydanym 5 sierpnia 1935 roku (kontury portu), a piękny dworzec morski, zbudowany w latach trzydziestych, przy nabrzeżu którego cumuje najpopularniejszy nasz statek — pasażerski M/S „Batory”, ujęto w serii „widoki”, wydanej w kwietniu 1937 roku. M/S „Batory”, ten symbol naszej pasażerskiej żeglugi, wszedł do eksploatacji w 1936 roku. W trzy lata później w Anglii, podczas II wojny światowej, został przebudowany i jako transportowiec wojskowy brał udział w przewożeniu ludzi, sprzętu i zaopatrzenia. Po zakończeniu działań wojennych wrócił do kraju i od kwietnia 1946 roku obsługiwał linię Gdynia—Nowy Jork (46 podróży), później — od czerwca 1951 roku — pływał na linii bombajskiej i wreszcie po generalnym remoncie przeszedł na trasę Gdynia—Montreal. Wycofany ze służby pełnił od maja 1969 roku funkcję pływającego hotelu i ostatecznie, jako nierentowny,



został sprzedany do Hongkongu na złom. W swój ostatni rejs wypłynął z Gdyni w dniu 30 maja 1970 roku o godz. 11.30. Statek ten w emisji wojennej pokazano na trzech znaczkach wydanych w latach 1958, 1964 i 1966.

Z marynistycznych wydań okresu międzywojennego wymienić należy również ramkowe kasowniki z numerem agencji, kalendarium i nazwą statku lub okrętu, którymi posługiwały się placówki pocztowe uruchamiane na polskich statkach. Naj-

starszą, otwartą w dniu 23 listopada 1932 roku posiadał S/S „Pulaski”, pasażersko-drobnicowy statek, na którym polską banderę podniesiono 7 sierpnia 1930 roku (w czasie II wojny światowej agencji tej nadano nr 49). Z ogólnej ilości ośmiu statków posiadających własne agencje wymienić należy pasażersko-towarowy statek S/S „Warszawa”, który przewoził polskich emigrantów do portu Le Havre we Francji (uruchomiona z dniem 28 maja 1934 roku) i agencję, która przetrwała najdłużej — na M/S „Batory”. Podczas wojny nadano tej agencji Nr 3, po powrocie do kraju wznowiła działalność 1 maja 1948 roku, a zakończyła razem z wycofaniem statku z eksploatacji (stosowano okrągły datownik z napisem „M/S „Batory” i kalendarzem).

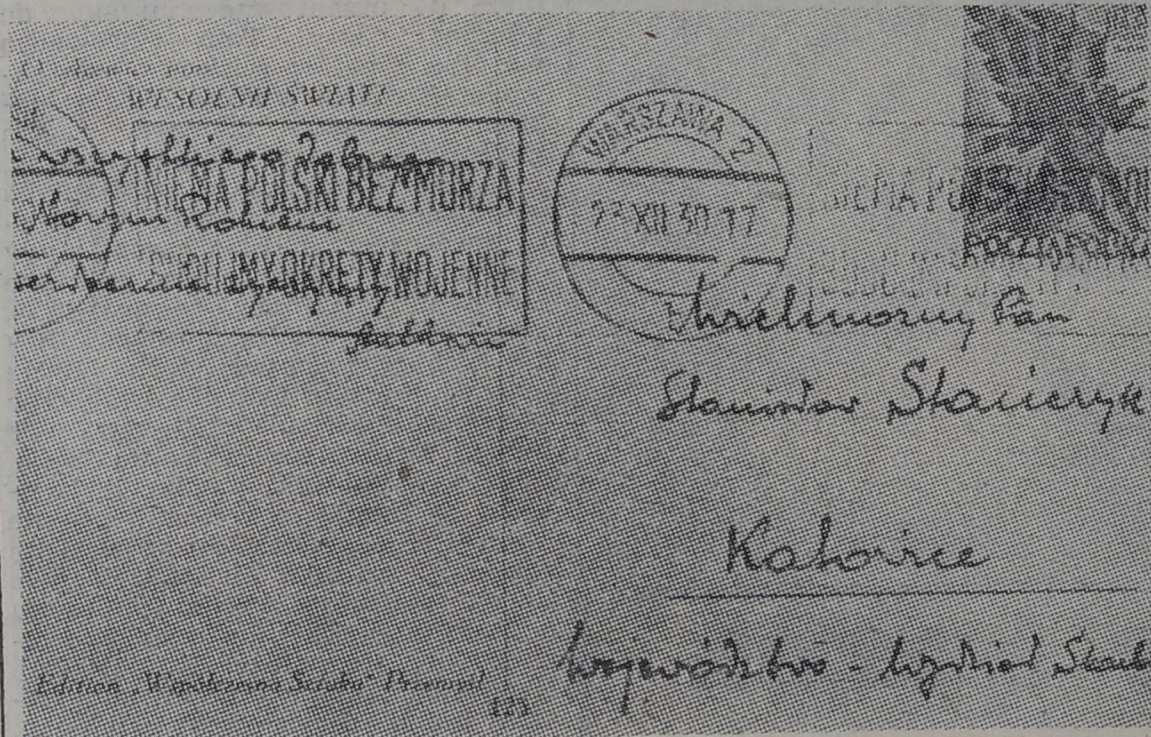
Oddzielną grupę stanowią specjalne datowniki, którymi upamiętniano podróże inauguracyjne. Stosowano je między innymi w czasie pierwszych podróży M/S „Piłsudski” na terenie Triest—Gdynia („PIŁSUDSKI MAYDEN VOYAGE”) i na statku M/S „Batory” podczas pierwszej podróży z Gdyni do Nowego Jorku — „PODRÓŻ INAUGURACYJNA M/S „BATORY” MAIDEN VOYAGE”.

Do marynistycznego tematu zaliczamy również znaczki i stemple PORTU GDAŃSK. Jak wiemy, dla działającej na terenie Wolnego Mia-

czwartą rocznicę odzyskania przez Polskę dostępu do Bałtyku oraz Święto Morza.

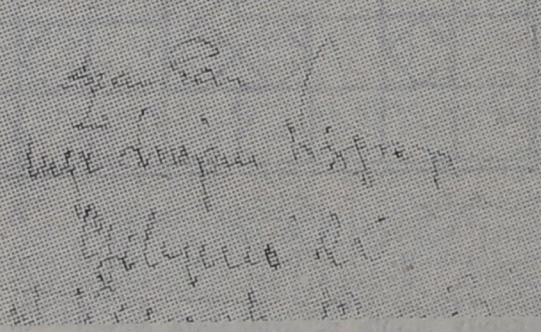
W okresie powojennym rozpoczęto emitowanie tematyki marynistycznej 23 kwietnia 1945 roku, wydając czteroznaczkową serię z dopłatą na Ligę Morską. Na znaczku o nominale 1 plus 3 zł z tej serii pokazano jeden z najpiękniejszych dużych żaglowców na świecie „Dar Pomorza”, który wszedł do eksploatacji 30 lipca 1930 roku w miejsce wysłużonego żaglowca „Lwów”. W czasie 52 lat służby pod biało-czerwoną banderą przepłynął około 500 tys. mil morskich i zawinął do ponad czterystu portów świata. Na jego pokładzie przeszkolono 12 000 osób, w tym 1848 — do 1939 roku. Pierwszym, wielkim sukcesem „Daru Pomorza” było opłynięcie w latach 1934/35 kuli ziemskiej, a jednym z ostatnich zdobycie pierwszego miejsca i głównej nagrody w operacji „Żagiel-72”. Równie jak bogata jest historia tego żaglowca, obszerna jest jego dokumentacja pocztowo-filatelistyczna.

500-lecie powrotu Pomorza do macierzy jest wspaniałą okazją do wydania pięcioletniczkowej serii, upamiętniającej wielki jubileusz. Pokazano w niej panoramę Elbląga, zabytkowe budowle ze Złotą Bramą i renesansowym ratuszem głównym w Gdańsku, fragmenty murów obronnych w Toruniu, panoramę mia-



LUCJAN WĘGRZYN

morskie fale na znaczkach



sta Gdańska poczty polskiej wprowadzono z dniem 5 stycznia 1925 roku, jednocześnie z uruchomieniem powszechnej obsługi klientów, znaczki polskiej emisji z nadrukiem „PORT GDAŃSK”, a od 1 lutego 1934 roku podobne nadrukowe karty pocztowe.

Tematyka marynistyczna pojawia się także wśród walorów emitowanych przez poczty obozowe (obóz IIC Woldenberg, IID Gross-Born i IIE Neubrandenburg), a wydania jej upamiętniają dwudziestą trzecią i

sta i zamku od strony Nogatu w Malborku i zabytkowe gotyckie budowle w Olsztynie — każdemu z tych miast poświęcono jeden znaczek.



Statki i widoki naszych portowych miast — Pucka z okrętami floty Włodysława IV w porcie, Gdańska z widokiem starego portu i żurawia nad Motławą oraz Kołobrzegu z panoramą twierdzy XVII-wiecznej — to wydawnictwa z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Osiągnięcia polskiego przemysłu okrętowego pokazano na sześciornaczkowej serii wydanej w 1961 roku, a specjalnymi kasownikami upamiętniono wybudowanie 999, 1000 i 1001 statku przez stocznice w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie.

Składająca się z 24 znaczków seria, emitowana przez trzy kolejne lata (1963/65), pokazuje historię rozwoju statków żaglowych od czasów starożytnych (XV wiek p.n.e.) po dzień dzisiejszy. Lata następne do bogatej marynistycznej kolekcji wnoszą nowe emisje — z okazji odbywających się w Zatoce Gdańskiej

Żeglarskich Mistrzostw Świata w klasie finn (w 1965 r.), 25 rocznicy działań oręża polskiego na morzu. Na trzech znaczkach wydanych z okazji tej rocznicy pokazano okręty wojenne „Piorun”, „Orzeł” i „Garland”, z których dwa zwrócono po zakończeniu działań wojennych flocie Wielkiej Brytanii. ORP „Orzeł” w czasie II wojny światowej dokonał czynu dotychczas nie znanego historii działań zbrojnych na morzu. Bez map i uzbrojenia po ucieczce z portu fińskiego Tallina, przeszedł cały Bałtyk, cieśniny duńskie, Morze Północne, do Anglii — zaginął w czasie patrolu 20 maja 1940 roku w rejonie Helgolandu. Serią „tradycji szkolnictwa morskiego” i osiągnięć jachtingu, które ujęto w emisji „sławne polskie żaglowce” (3 znaczków), zakończono dotychczasowe wydania marynistyczne. Wśród sławnych żaglowców pokazano między innymi jacht „Dal”, na którym w latach 1933/34 odbyli polscy żeglarze rejs przez Atlantyk, sławny z rejsu Leonida Teligi dookoła świata jacht „Opty” i jeden z najmłodszych wyczynowych jachtów — „Polonez”, zbudowany według polskiego projektu w stoczni szczecińskiej. Krzysztof Baranowski w latach 1971–73 płynął na nim w regatach samotników przez Atlantyk i odbył rejs dookoła świata.

W „tradycjach szkolnictwa morskiego” obok sylwetek pierwszych organizatorów polskiej szkoły morskiej, kapitanów żeglugi wielkiej — Tadeusza Ziolkowskiego, Antoniego Garnuszewskiego, Antoniego Ledóchowskiego, Jana Turlejskiego, Kazimierza Porębskiego, Gustawa Kańskiego i Konstantego Maciejewicza — pokazano statki i sławne żaglowce szkolne „Lwów” i „Dar Pomorza”.

Bogatą dokumentację posiadają kasowniki okolicznościowe, przypominające swą treścią sprawy morskie. Pierwsze, mówiące o tym, że „Nie ma Polski bez morza — budujemy okręty wojenne”. „Chcemy silnej floty wojennej i kolonii”, „Na



flotę polską zapłacić 1 zł rocznie — PKO nr 30”, pojawiają się w urzędach pocztowych Warszawy, Krakowa, Katowic, Poznania i Łodzi w początkach lat trzydziestych. Urząd pocztowy Gdynia 1 stosuje w tym czasie kasownik z napisem „Gdynia Port Polski”, a później dodatkowo w 1935 roku „Gdynia Cię oczekuje, morze Cię wita”, „Morze i kolonie to potęga Polski”.

Datowniki i stemple okolicznościowe okresu powojennego upamiętniają osiągnięcia gospodarki morskiej, jubileusze i rocznice naszych zbrojnych czynów na morzu i w obronie wybrzeża; morskie wyprawy naukowe na Biegun Północny (Spitsbergen) i na Antarktydę, udział naszych żeglarzy w międzynarodowych regatach (Sail Operation) i w wyprawach dookoła świata oraz wyczyny naszych samotników na morzu.

LUCJAN WĘGRZYN

K 3086



Nazywamy tak rozwidloną gałązkę z elastycznego drzewa wierzby, łoziny, orzecha laskowego — które z natury tworzą niezbyt szerokie ładne widelki. Gałązkę odcinamy w odległości 5—8 cm za rozwidleniem, a oba końce do długości 34—40 cm. Końce te ostrugujemy na szpicie dłu-

żółdkę należy w czasie poszukiwania trzymać tak, aby przedramiona tworzyły z nią linię prawie poziomą; ważne jest, aby nie trzymać różdżki kurczowo. Należy ją naprężyć tak, żeby sama zaczęła drgać. Jeżeli przyrząd drga lekko w górę i w dół bez przerwania lub ściągania w dół to znaczy, że stoimy wtedy w

normalnej jonizacji powietrza — ładunki elektryczne są wyrównane. Jeżeli zmienimy teren i zetknijemy się z jakimś polem elektrycznym (magnetycznym lub innym promieniowaniem) różdżka wykona natychmiast ruch w kierunku biegu linii tego pola (w dół lub w górę). Zdolność ożywienia różdżki zależy od biopłądów naszych dłoni — powinny być dodatnie w obu — oraz od umiejętności trzymania przyrządu. Jeżeli ładunki są słabe, różdżka będzie się ledwo zginała, jeżeli są ujemne — może się w ogóle nie zginać lub tylko lekko podnosić do góry. Osoba mająca takie warunki nie będzie nigdy dobrym różdżkarzem.

gości 5—8 cm. Różdżki wykonuje się również z drutu stalowego o grubości 2—3 mm lub innego elastycznego materiału. Mogą one posiadać rączki dla wygodniejszego trzymania, gdyż sam drut jest zbyt cienki

wstępny kurs radiestezji

RÓŻDŻKA

szumiący horoskop

DRZEWO PRAWDĘ CI POWIE

URODZENI 25 MAJA — 3 CZERWCA ORAZ 22 LISTOPADA — 1 GRUDNIA. ICH DRZEWEM JEST AMBITNY JESION.

Człowiek urodzony pod tym znakiem jest niezwykle ujmujący, lubiany przez wszystkich. Charakter żywy, impulsywny, wymagający. Robi to, co uważa za słuszne, kpi z krytycznych i złośliwych uwag. Łatwo osiąga cele, a jeśli mu to czasem nie wyjdzie, odsuwa się w klasztorne zacisze. Ambitny, inteligentny, zdolny. Potrafi być egoistą. W miłości fantasta i oryginał, ale też — rozważny i wierny. Jesion szuka niezwykłości. Nie będzie źle w jego cieniu.

4—13 CZERWCA ORAZ 2—11 GRUDNIA. ICH DRZEWEM JEST GRAB ESTETA.

Zimny urok grabu w młodym wieku przyciąga wiele spojrzeń. Bardzo dba o swój wygląd. Trochę egoista, trochę esteta. Chciałby urządzić sobie życie jak najwygodniej. Poszukuje ciepłego i uciwłego partnera, pokłasku, sławy. W miłości chciałby przeżyć coś niebanalnego. Rzadko jest szczęśliwy. Częściej jest kochany, niż sam kocha. Spośród grabów wyrastają często artyści.

14—23 CZERWCA ORAZ 12—21 GRUDNIA. ICH DRZEWEM JEST FIGA SENTYMENTALNA.

Osobowość silna, dziwna — nie każdemu się podoba. Ma potrzebę

kochania i ciepła. Niezależna w sądach — nie znosi sprzeciwu, a swoich przeciwników niszczy. Kocha życie rodzinne. Uczuciowość powiązana z niestałością przysparza jej wiele kłopotów i cierpień. Zdolności i inteligencja a także poczucie humoru powodują, że warto złączyć życie z figą.

24 CZERWCA. ICH DRZEWEM JEST BRZOZA.

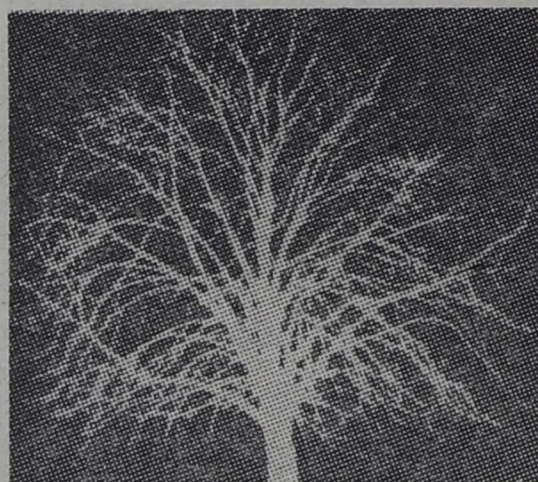
To drzewo piękne i delikatne. Człowiek urodzony pod tym znakiem jest lubiany i poszukiwany w towarzystwie. Nie znosi brzoza wulgarności. Kocha życie na łonie przyrody. Myli czasem jej delikatną powierzchowność, choć w życiu jest tytanem pracy. Nie przeżywa miłości namiętnie, ale charakteryzuje ją stałość uczuć. Duża inteligencja połączona z wyobraźnią. Wystarczy jej dom, dobra biblioteka i praca twórcza. Wokół niej wyczuwa się spokój, zadowolenie, szczęście.

25 CZERWCA — 4 LIPCA ORAZ 23 GRUDNIA — 1 STYCZNIA. ICH DRZEWEM JEST JABŁOŃ.

Jabłoń ma wdzieczny wygląd, choć niemocną budowę. Do późnego wieku cieszyć się będzie powodzeniem u płci odmiennej. Przez całe życie kochana i gotowa do flirtów. Jeśli znajdzie zadowolenie w małżeństwie, rezygnuje z miłosnych przygód. Jabłoń żyje dniem dzisiejszym. Często bywa roztargniona. Przy sprzyjających warunkach zachodzi wysoko, osiąga zaskazyty. Życie ma ruchliwe, ciekawe.

Niektóre kraje wykorzystują wiedzę i zdolności różdżkarzy. W Stanach Zjednoczonych każde większe przedsiębiorstwo wodnorurociągowie korzysta z usług kwalifikowanych radiestetów, którzy przejęli tę wiedzę od emigrantów niemieckich. Wiadomo już, że pierwsza i trzecia dywizja morska USA ćwiczyły się w stosowaniu różdżki do lokalizacji pułapek zastawianych przez VIET-CONG. W kanadyjskim Ministerstwie Rolnictwa pracuje na etacie m.in. właśnie różdżkarz. Tak poważna instytucja, jaką jest UNESCO do prowadzenia badań zatrudniała przez czas pewien holenderskiego różdżkarza. W Związku Radzieckim radiesteci wyszukują obiekty historyczne i architektoniczne, które ukrywa ziemia

radiesteci na etacie



Łomża - zdrowotne miasto

Nie wszystkie rejony naszego kraju mają jednakowy wpływ na nasze zdrowie. Czasami nawet rejony górskie i podgórskie — tak bardzo polecane — nie sprzyjają naszemu organizmowi. Szkodliwość albo zdrowotność okolic uzależniona jest nie tylko od warunków klimatycznych, lecz i od tego, jakie ziemia kryje w sobie złoża mineralne i kopalne: pokłady uranu są rakotwórcze, natomiast kobaltu, miedzi i węgla dobroczynne. Naukowcy stwierdzili, że, na przykład, tereny, na których leży francuskie miasto Doubs Besancon posiadają właściwości regeneratywne. W Polsce najbardziej korzystnym dla zdrowia jest teren, który zamykają miasta: Rabka, Mszana Dolna, Limanowa, Krośnice. Drugi, tworzą miasta Białystok, Sokółka, Dąbrowa, Augustów, Łomża. Na trzecim miejscu można postawić całą Zamojszczyznę i południową Lubelszczyznę. Najbardziej zdrowotne są wsie: Lubomeirz, Szczawa, Kamienica. Najmniej korzystnym rejonem pod względem zdrowotnym są okolice nad Notecią, Żuławy i okolice Warszawy w promieniu 50 km. Nie uwzględniamy tu, oczywiście, czynników zabójczych, jakie stwarza przemysł. Jest to bowiem ten czynnik, który człowiek sam sobie gwarantuje.

pamiętnik genialnego jasnowidza

Już w czasie niemieckiej okupacji zdarzył się wypadek, który zapoczątkował historię prawdziwą, wyrażną mojego pozazmysłowego postrzegania.

W roku 1940 wyrwawszy się z rąk gestapo w Kaliszu, zatrzymałem się na czasowy pobyt w Wierzbicy, niemieckiej osadzie, niedaleko od Radomia. Tam, w spokojny majowy poranek wtargnął silny oddział hitlerowców, by ukarać mieszkańców za niedostarczony dla Trzeciej Rzeszy kontyngent drzewa. Pod grozą skierowanych do mnie karabinowych łuf kazano iść tam, gdzie spędzano wszystkich mężczyzn, którym na sposób średniowieczny wymierzano karę chłosty. Oprawcy kazali się ludziom kłaść na pniaku i potem z jakimś sadyzmem ich katowali, a na zakończenie każdego kluli bagnetem. Mnie kazali przypatrywać się ich robocie. Później zabrali się do mnie. Chodziło im o ośmieszenie i poniżenie mojej osoby wobec ludzi. Oprawdzali mnie po rynku wśród sztyderstw i brukowych inwektyw, fotografowali w asyście esesmanów z karabinami w rękach. Ale kiedy chcieli zmusić do biegania po rynku, stanowczo się przeciwstawiłem. Nie

mogłem, nie chciałem pozwolić na poniżenie mej godności, jako człowieka i jako Polaka. Opór mój doprowadził zgrałę hitlerowską do szalu wściekłości. Zostałem przez nich pobity i okaleczony.

Świadomość doznanej krzywdy oraz widok wynaturzenia człowieka z trupią głową na czapce, cały ten splot wypadków wywołał w mej jaźni silny wstrząs, który z kolei wyzwolił we mnie drzemające nieznanne energie psychiczne: poruszył jakiś mechanizm w ośrodkach mózgu, obudził nadświadomość, dzięki której zacząłem przenikać wzrokiem ducha psychofizyczną strukturę człowieka. (...)

Mieszkalem w małej chatce pewnej wdowy, w Przyłuku koło Zwoleń. Pewnej nocy budzę się nagle ze snu, czuję bowiem prawie dotykalnie zbliżające się ku mnie śmiertelne niebezpieczeństwo. Bez namysłu siadłem na rower i w ciemną noc uciekałem aż do miasta Gniewoszowa oddalonego o 18 km. Zaraz po mojej ucieczce przyszedł do mego pokoju kilku bandytów z zamiarem dokonania na mnie morderstwa i rabunku. Zabili wtedy kilka osób w sąsiedztwie.

W jakiś czas później przypadkowo spotkanej kobiecie w Rudzie powiedziałem o tragicznej mojej wizji aż dwu naraz pogrzebów w jej domu. W tydzień zaledwie potem hitlerowcy zamordowali jej dwóch braci. A więc odbyły się dwa pogrzeby.

W roku 1943, w kwietniu, musiałem wykonać obowiązkową pracę swego zawodu w Ciepielewie. Od pierwszego już dnia opanował mnie targający niepokój, potęgający się z każdą godziną. Czuję wyraźnie i konkretnie zbliżającą się masakrę ludności cywilnej w pobliskiej wsi, a może nawet w Ciepielewie. Po ukończeniu swej pracy szybko opuściłem zagrożony teren. Po drodze napotkałem znajomego, który nosił nazwisko Posłuszny, mieszkał właśnie w terenie zagrożonym niebezpieczeństwem. Namawiałem go usilnie, aby natychmiast opuścił swój dom i wyjechał na pewien czas, inaczej bowiem zginie. W dwa dni od tego spotkania hitlerowcy otoczyli żelaznym pierścieniem kilka wsi, wybrali z nich wszystkich mężczyzn i na miejscu rozstrzelali. Wśród nich znalazł się również ostrzegany przeze mnie Posłuszny.

CZESŁAW ANDRZEJ KLIMUSZKO

wiedza tajemna

wiedza tajemna

